

GO exclusive

\\ LIPIEC-SIERPIEŃ 2017

GAZETA OLSZTYŃSKA \\ DODATEK BEZPŁATNY

\\ 50 lat temu Kloss miał zostać rozstrzelany na Kołłątaja

\\ Marcin Meller: Na Mazurach najbardziej lubię paskudny listopad

\\ Co wspólnego mają żołędzie i myszy z wysypem krwio pijcy?

\\ Piramida w Rapie kryje jeszcze wiele tajemnic



MIBO Sp. z o.o.
Olsztyn, ul. Jagiellończyka 41c
tel. 89 524 18 88 www.mibo.opel.pl

Mibo



Szanowni Państwo!

Tegoroczne lato nas nie rozpieszcza, ale wierzę, że nad naszymi jeziorami słońce jeszcze mocno zaświeci i porządnie nas rozgrzeje. W każdym razie my już teraz chcemy rozgrzać Was kolejnym wydaniem „GO Exclusive”. Tym razem proponujemy letnią dawkę emocji upichconą z naprawdę fascynujących historii.

Poopowiadamy Wam o upojnych nocach Napoleona w podławskim Kamieńcu. Zbigniewa Lwa-Starowicza zapytaliśmy o wakacyjne romanse. Sprawdziliśmy, czy Kmicic wojował pod Olsztynkiem i gdzie szukać mazurskiego śladu Świętego Graala. Dowiedziecie się także, dlaczego Marcin Meller na Mazurach najbardziej lubi deszczowy, szary listopad. Zapewniam, że lektura „GO Exclusive” sprawi Wam prawdziwą frajdę. My tymczasem bierzemy się za przygotowanie kolejnego wydania.

Igor Hrywna, redaktor naczelny „Gazety Olsztyńskiej”



Spis treści

- 4. Mazurski ślad Świętego Graala
- 6. Lubię się bać i czuć na skórze dreszczyk emocji – wywiad z pisarką Beatą Nowosielską
- 10. 50 lat temu Kloss miał zostać rozstrzelany na Kółtątaja
- 14. Sztynort – czy ten pałac ma jeszcze szansę?
- 18. Czy Kmicic walczył pod Olsztynkiem?
- 22. Anna, która skradła serce Mikołaja
- 24. Na Mazurach najbardziej lubię paskudny listopad – wywiad z dziennikarzem i publicystą Marcinem Mellerem
- 28. Co wspólnego mają żółędzie i myszy z wysypem krwiopiczy? – wywiad z naukowcami: Michałem Bogdziewiczem i Joanną Zajkowską
- 32. Pruski romans Marii i małego cesarza
- 36. Znam panie, które jadą gdzieś grupowo, żeby przeżyć romans – wywiad z seksuologiem prof. Zbigniewem Lwem-Starowiczem
- 40. Jego nazwisko wciąż siedziało w głowach ludzi z Włodowa
- 44. Zabił, bo chciał zostać taksówkarzem
- 46. Piramida w Rapie kryje jeszcze wiele tajemnic
- 48. Śmiertelna wojna na Śniardwach
- 50. Rozlewisko wróciło na Mazury

NA ZDJĘCIU NA OKŁADCE:

Opel Insignia 2,0 turbo 4x4 Elite 260KM, cena 155 400 zł (wersja podstawowa od 99 900 zł)
modelka Beata Tonn, właściciel olsztyńskiej firmy Ubezpieczenia W DOBRYM TONNIE

Fot. Zbigniew Woźniak

Wydawca:
GRUPA WM Sp. z o.o. 10-364 Olsztyn, ul. Tracka 5
Drukarnia Prasowa GRUPY WM Sp. z o.o. Olsztyn, ul. Tracka 7

Prezes Jarosław Tokarczyk
Dyrektor działu sprzedaży reklam
Arkadiusz Kaźmierczak

Redaktor wydania: Joanna Markowska
Projekt graficzny: Dobrochna Bugiera



269 lat tradycji zobowiązuje
Marka **Villeroy&Boch** produkuje ceramikę
sanitarną, armaturę, meble oraz płytki
ceramiczne a wszystko to jest **dostępne**
u **oficjalnego dystrybutora.**

 **ceramoteka**



Kompleksowe wyposażenie łazienek Wilczyńskiego 27A | Olsztyn (Jaroty) | www.ceramoteka.pl



umywalki



wanny/SPA



armatura



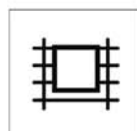
meble



płytki



prysznice



grzejniki



oświetlenie



Kościół w Bezląwkach to krzyżacki zamek z XIV w. z dostawioną kościelną wieżą. To tu miał być zamurowany Święty Graal. Fot. Igor Hrywa

MAZURSKI ŚLAD ŚWIĘTEGO GRAALA

W ZAGADKA ŚWIĘTEGO GRAALA DO DZISIAJ ROZPALA WYOBRAŹNIĘ ODKRYWCÓW NA CAŁYM ŚWIECIE. CZY KOŚCIÓŁ W MAZURSKICH BEZŁAWKACH TO MIEJSCE, W KTÓREGO MURACH UKRYTO NAJSŁYNNIEJSZY KIELICH WSZECH CZASÓW, CZYLI NACZYNIĘ, Z KTÓREGO PIŁ JEZUS?

Legenda o Świętym Graalu jest tylko legendą, czy może jednak zawiera w sobie historyczną prawdę? Na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi nie znamy. Bo jedni twierdzą, że to zwykła bajka, a drudzy są przekonani, że kielich, z którego Chrystus miał pić podczas Ostatniej Wieczerzy, istnieje.

— Powiem tak: nie tyle wykluczam, że jest to jedynie legenda, co nawet chciałbym, żeby Święty Graal istniał — stwierdza Henryk Falkowski, historyk IV LO w Olsztynie. — Mielibyśmy nie tylko Pismo, ale także wiarygodne dowody materialne. Z punktu widzenia historii byłoby to niezwykle cenne.

Argumentów za istnieniem kielicha jest kilka. Pierwszy związany jest z uczniami Chrystusa. Jeśli przyjmiemy, że po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa apostołowie przebywali w wieczerniku, to zapewne korzystali z kielicha z Ostatniej Wieczerzy. A według tradycji św. Piotr zabrał naczynie do Rzymu, gdzie stało się kielichem papieskim.

Innym argumentem może być fakt, że w Kanonie rzymskim, jednej z najstarszych modlitw eucharystycznych w chrześcijaństwie, znajdują się słowa „(...) wziął ten przestawny kielich w swoje święte i czcigodne ręce (...)”.

Warto również wspomnieć, że Święty Graal przez kilkaset lat nie budził większych emocji. Wszystko zmieniło się w latach 30. XX wieku, swój wkład w obudzenie legendy na nowo miała m.in. III Rzesza, a dokładnie Heinrich Himmler, szef SS, który był fanatycznym wyznawcą talizmanów.

Odnalezieniem Świętego Graala zajął się Otto Rahn, niezbyt znany naukowiec. Kielicha szukał we Francji, choć tak naprawdę twierdził, że Graal to spisana przez Jezusa księga. Poszukiwania nazistów zakończyły się, rzecz jasna, niepowodzeniem, wraz z tajemniczą śmiercią Ottona Rahna, ale tym samym stały się inspiracją dla kolejnych, już powojennych badaczy.

Legenda o Świętym Graalu wiąże się także z Bezląwkami, niewielką warmińską wsią w powiecie kętrzyńskim. Ten motyw pojawia się w tzw. legendach arturiańskich. Według niej, kielich został odnaleziony przez sir Galahada, rycerza króla Artura, celtyckiego władcy Brytów z przelotu VI i VII wieku.

Kielich miał następnie być u spadkobierców króla — aż do śmierci Harolda II w bitwie pod Hastings. Harold był bowiem ostatnim władcą anglo-

saskim, nowym władcą został Wilhelm Zdobywca, który zapoczątkował rządzący dynastii normañskiej.

Synowie Harolda II mieli zaś opuścić ojczyznę, zabierając ze sobą najcenniejsze relikwie, więc również kielich uznawany za Graala. Szli do Konstantynopola przez Litwę i Ruś. Jak mówi legenda, dwaj potomkowie króla mieli zostać na Litwie, a jeden — Godwin miał być przodkiem Giedymina, ojca Władysława Jagiełły i księcia Bolesława Świdrygiełły.

Kiedy Świdrygiełło sprzymierzył się z Krzyżakami, jego losy spłoty się właśnie z Bezląwkami. W 1402 roku wziął udział w krzyżackiej wyprawie na Wilno i osiadł na zamku Beeselack, czyli mazurskich Bezląwkach.

I chociaż książę na zamku nie zabawił długo, to tajemniczy kielich miał w Bezląwkach pozostać. Po Wielkiej Wojnie z Zakonem (1409-1411) zamek utracił swoje znaczenie, a w następnych latach przestał pełnić funkcję warowni. Na początku XVI wieku obiekt stał się kościołem, a w 1583 roku został przebudowany na świątynię protestancką i należał do protestantów do lat 80. XX wieku. Później popadł w ruinę i został przejęty przez katolików.

A co ze Świętym Graalem, najcenniejszą relikwią chrześcijaństwa? Według jednej z legend, w 1520 roku, czyli w czasie ostatniej wojny polsko-krzyżackiej, miał zostać zamurowany w murach świątyni. Ale czy kielich rzeczywiście mógł znaleźć się w Bezląwkach? I czy w tych legendach kryje się choć ziarno prawdy? — Można snuć różne teorie, ponieważ Krzyżacy, jeśli chodzi o idee, wywodzą się z Ziemi Świętej — odpowiada Henryk Falkowski.

I dodaje: — Jest wiele teorii związanych z Jezusem, jak chociażby ta, że Merowingowie to dynastia potomków Jezusa. Jeżeli więc nawet przez potomków snuje się domysły, to dlaczego przedmioty nie miałyby istnieć? Przecież całe średniowiecze było oparte na „świętości” różnych gwoździ, krzyży czy włóczni, które miały przebić bok Chrystusa, a które średniowieczni władcy wręczali sobie jako najdroższe prezenty.

Byłoby pięknie, gdyby kielich Jezusa rzeczywiście istniał i przetrwał tyle wieków — mówi historyk.

MATEUSZ PRZYBOROWSKI 

WYŚCIGOWE EMOCJE NA WARMII I MAZURACH

Rasowe brzmienie silników i uwielbiany przez wielu zapach spalin na co dzień tworzą wyjątkowy klimat. Halowy Tor Kartingowy Kormoran prowadzony przez Macieja Marcinkiewicza utytułowanego kierowcę wyścigowego, mieszczący się przy ulicy Sprzętowej 6 w Olsztynie zaprasza wszystkich. Jedyne warunki to nie mniej niż 110 cm wzrostu.

W stolicy naszego regionu od 5 lat działa jeden z najbardziej profesjonalnych obiektów tego typu w kraju. Przez 12 miesięcy w roku przychodzą tam przedszkolaki, ludzie w sile wieku, a nawet starsi. W swojej ofercie obiekt posiada ponad 20 gokartów, a wśród nich gokarty dla dorosłych, dzieci oraz dwumiejscowy Twin. Na najmłodszych od 4 roku życia czeka specjalnie przygotowany gokart Puffo. Do tej pory nie zdarzyło się, aby ktokolwiek wśród jeżdżących kobiet i mężczyzn po dziesięciominutowym przejeździe nie był zadowolony. Adrenalina, która towarzyszy podczas dynamicznej jazdy, nie daje zejść uśmiechowi z twarzy jeszcze długo po skończonym biegu.

— *Oprócz tego, że przykładamy wielką wagę do bezpieczeństwa na torze, zwracamy także uwagę na odpowiednie przeszkolenie każdego kierowcy przed jazdą* — podkreśla Maciej Marcinkiewicz, właściciel firmy. Liczą się nie tylko energochłonne bariery nitki toru i jego asfaltowa nawierzchnia, która zapewnia przyczepność na najwyższym poziomie, ale też profesjonalne osłony gokartów i stała obecność obsługi na hali, która za pomocą sygnalizacji świetlnej i flag ostrzegawczych dba o bezpieczny przebieg rywalizacji.



— *Przychodząc do nas po raz pierwszy każdy uczestnik po szkoleniu otrzymuje kartę członkowską, która upoważnia do jazdy po torze — coś w rodzaju licencji kierowcy wyścigowego. Jednocześnie otrzymuje dostęp do konta, poprzez które może śledzić wyniki, statystyki swoje i rywali. Obecnie Tor Kormoran ma zarejestrowanych ponad 50 tys. użytkowników, przez co statystyki w różnych kategoriach są bardzo rozbudowane* — zaznacza Maciej Marcinkiewicz.



Na Torze Kormoran każdy, nawet ktoś niedoświadczony i bez prawa jazdy, znajdzie coś dla siebie. Ci, którzy dopiero chcą zacząć swoją przygodę z motoryzacją, właśnie tam będą mieli możliwość obycia się z pojazdem i prędkością w bezpiecznych warunkach. Także ci bardziej doświadczeni nie będą zawiedzeni — gwarantujemy prawdziwe wyścigowe emocje. Od kartingu zaczęli wszyscy najlepsi kierowcy na świecie, każdy kierowca Formuły 1 nie tylko zaczynał od tych pojazdów, ale też wielu z nich traktuje to jako dodatkową formę treningu. Gokarty to nie tylko świetna zabawa, ale też aspekt edukacyjny. Podczas jazdy po torze w bezpiecznych warunkach poznaje się technikę jazdy, zachowanie pojazdu, moment utraty przyczepności i poślizgu oraz ogólne zasady dynamicznego poruszania się pojazdów mechanicznych. Nawet najmłodszy po jeździe gokartem będzie bardziej świadomy, że rozpędzony samochód potrzebuje drogi do natychmiastowego zatrzymania się przed chociażby pieszym wchodzącym na drogę.



— *Wielu młodych kierowców, dla których motoryzacja jest ogromną pasją, narzeka na brak miejsc, w których mogliby swobodnie doskonalić umiejętności prowadzenia auta. U nas mogą pościgać się niemal bez żadnych ograniczeń, czego nie będą chcieli już robić na drogach,*

z resztą każdemu kierowcy przyda się taki trening, który ćwiczy czas reakcji i podjęcie odpowiedniego działania. A dla bardziej zaawansowanych organizujemy nawet zawody sportowe — podkreśla Marcinkiewicz.



— *Często przychodzą do nas zorganizowane grupy przyjaciół lub pojedyncze osoby, które chcą poczuć wyścigowe emocje. Najlepiej wcześniej zarezerwować przejazd przez stronę internetową www.torkormoran.pl lub po prostu przyjść w godzinach otwarcia* — opowiada Marcinkiewicz.

Na torze organizowane są także eventy firmowe, szkolenia, konferencje, urodziny, wieczory kawalerskie czy też nawet panieńskie. Imprezy odbywają się w salach eventowych, które znajdują się na pierwszym piętrze, a z ich okien widoczna jest rywalizacja na całym torze.

— *A jeśli już ktoś się najeździ, może też u nas sobie postrzelać. Kormoran to również Arena do rozgrywek gier paintballowych, która stanowi uzupełnienie oferty. Pole przygotowane jest w unikalnym przemysłowym klimacie z efektami pirotechnicznymi i oświetleniem nocnym, które gwarantują wyjątkowy charakter walk* — opisuje Marcinkiewicz.

LUBIĘ SIĘ BAĆ I CZUĆ NA SKÓRZE DRESZCZYK EMOCJI

\\ PRACUJE W SZPITALU I WYMYŚLA STRASZLIWE HISTORIE. CZASAMI BIERZE UDZIAŁ W SEKCJACH ZWŁOK. NA ILE CAŁA TA OTOCZKA WPŁYWA NA JEJ NASTRÓJ? PISANIE CZASAMI JEST SWOJEGO RODZAJU TERAPIĄ, ODSKOCZNIĄ, UCIECZKĄ OD CODZIENNOŚCI...

Z Beatą Nowosielską, pisarką, rozmawia Ada Romanowska. Fot. Grzegorz Czykwin

— Śnią się pani horrory?

— Nie jest to standard, ale zdarza mi się obudzić z krzykiem w nocy. Z racji tego, że pracuję zawodowo, moje książki piszę głównie wieczorami, czasami do późna i kładę się spać z głową pełną strasznych historii, które właśnie przelałam na papier. Najczęściej śnią mi się umarli, zjawiska nadprzyrodzone, niewyjaśnione sytuacje. Nie boję się tych snów, tylko staram się czerpać z nich inspiracje.

— W dzieciństwie też budziła się pani z krzykiem w nocy?

— Jak byłam mała, strasznie bałam się burzy, która wówczas nawiedzała mnie w snach. Do dziś nie wiem dlaczego, ale oślepiające pioruny śniły mi się co noc. Dziś je uwielbiam i obserwuję przy każdej możliwej okazji. Mało tego, często występują w moich książkach. Może takie małe przeznaczenie? Bałam się również pajaków — to mi pozostało do dnia dzisiejszego.

— Strach może być inspirujący?

— Moja fascynacja strachem rozpoczęła się, kiedy byłam nastolatką. Razem z koleżanką (Kamila M., pozdrawiam) natłogowo oglądałyśmy wszystkie dostępne horrory, wówczas również rozpoczęła się moja przygoda z książkami grozy. Stephen King, Graham Masterton, Dean Koontz — to byli moi przewodnicy po świecie horroru. Inspiracja tego rodzaju literaturą popchnęła mnie do tego, aby tworzyć własną — taką, którą sama chciałabym przeczytać.

— Wierzy pani w zjawiska paranormalne?

— Jestem nimi zafascynowana i wierzę, że wiele osób ich doświadcza. W dzisiejszych czasach żyjemy szybko, dużo pracujemy, a odpoczywamy w sieci — na Facebooku, Instagramie, Snapchacie. I jeśli takie zjawiska nas dotyczą, to zwyczajnie ich nie zauważamy. Trzeba trochę zwolnić, wyciszyć się i otworzyć, a wówczas okaże się, że otacza nas inna rzeczywistość. Ja osobiście często doświadczam dziwnych i niewytłumaczalnych historii. Na przykład oglądałam razem z córką stary horror, gdy nagle usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Usłyszał je również nasz piesek, który podbiegł pod drzwi i zaczął się denerwować. Za drzwiami nikogo nie było, nie było również nikogo w najbliższej okolicy. Tego wieczoru pukanie powtórzyło się jeszcze kilka razy... Co oznaczało? Nie wiem. To tylko przykład na to, że nie jesteśmy sami.

— Ratownictwo medyczne, fizjoterapia, pracownia histopatologii, a w wolnych chwilach thrillery i horrory. Praca sprzyja takim tematom?

— Nie sądzę. Staram się oddzielać pracę, życie prywatne i moje pisanie. Pomysły powstają w mojej głowie samoczynnie, chociaż... gdybym pracowała w wesołym miasteczku, może pisałabym komedie? (śmiech) Aczkolwiek, jak by tak się porządnie zastanowić... Czasami biorę udział w sekcjach zwłok. Prosektorium, cisza, śmierć, smutek — cała ta otoczką może wpływać na mój nastrój, który później przelewał na papier. Pisanie czasami jest swojego rodzaju terapią, odskocznią, ucieczką od codzienności.

— Dlaczego akurat ten gatunek?

— Jak już wcześniej powiedziałam, na takim gatunku się wychowałam, takim jestem zafascynowana, taki kocham. Uwielbiam napięcie, niewyjaśnione historie, duchy, straszne i mroczne klimaty. Lubię się bać, czuć na skórze ten dreszczyk emocji, to napięcie... Nie lubię książek i filmów, które są przewidywalne i już na początku wiem, jak się skończą. To nie dla mnie. Nudzą mnie, zamiast wprawiać w dobry nastrój. Gatunek grozy ma to do siebie, że zakończenia najczęściej są zaskakujące i na takie warto czekać. Ja w swoich książkach też staram się takie tworzyć — tak, aby czytelnik do samego końca nie wiedział i aby ostatnia kartka była niedosytem... żeby chciał więcej!

— Bać się można, ale pisać o tym?

— Od kiedy pamiętam, uwielbiałam pisać, tworzyć, głównie skupiałam się na opowiadaniach, które trafiały do szuflady, a po latach do śmietnika. Dopiero jak dorosłam, dojrzałam do tego, żeby zająć się tym na poważnie. Wbrew temu, co niektórzy myślą, pisanie to jest bardzo ciężka i mozolna praca, połączona z planowaniem i oczekiwaniem. Do tego dochodzi jeszcze poświęcenie całego swojego wolnego czasu, kosztem imprez, spotkań, wyjazdów. Ja piszę głównie w weekendy i zawsze, jak gdzieś wyjeżdżamy, mam poczucie, że tracę dwa dni, kiedy przecież tyle mogłabym napisać. Dlatego to trzeba bardzo kochać, aby wszystko poświęcić — to miłość bezgraniczna. Z własnego doświadczenia, jak również z rozmów ze znajomymi wiem, że jedną z dróg do pisania jest czytanie. Jeśli ktoś jest mołem książkowym i pochłania tom za tomem, a do tego ma wyobraźnię, to jest tylko kwestią czasu jak sam zapagnie pisać.

— Jako zodiakalny bliźniak... pisze pani po dwie książki na raz. Nie miesza się w głowie?

— W mojej głowie jest tyle pomysłów, że brakuje mi czasu na ich realizację. Jestem typowym bliźniakiem, który chciałby wiele rzeczy robić na raz, nie tylko pisać — typowy dualizm. Ciało chce odpocząć, a dusza wyrwa się do pisania. Nie lubię bezczynności. Kończąc jedną książkę, w głowie

mam już pomysł na następną i wtedy zaczyna się rozterka. Tę muszę skończyć, ale już gdzieś na boku zaczynam nową i tak jest za każdym razem! „Labyrint Strachu” jest moją debiutancką książką, ale nie spoczęłam na laurach i nie czekałam na jej wydanie. W tym czasie napisałam kolejną, ciekawą i straszną książkę, która wkrótce trafi do wydawnictwa. A dziś kończę drugą część „Labyrintu”... Co będzie zaskoczeniem dla czytelników, którzy po raz pierwszy dowiedzą się o tym z tego wywiadu! Tak! Będzie kontynuacja losów Sary i jej przyjaciół.

— „Labyrint strachu” pokazuje, że kobieta to nie słaba pteć. Co pani udowodniła swoim debiutem?

— Nigdy nie uważałam kobiet za słabą pteć, kobiety są mądre, silne i zdecydowane. Do tego uparte i skutecznie dążą do wyznaczonego celu. Ja udowodniłam sobie i innym, że marzenia się spełniają, że warto o nie walczyć.



Mam tyle pomysłów, że brakuje mi czasu na ich realizację. Jestem typowym bliźniakiem, który chciałby wiele rzeczy robić na raz.

JEDNA KARTA -WACHLARZ MOŻLIWOŚCI!



**WYGRAJ LUB KUP KARTĘ
PODARUNKOWĄ I CIESZ SIĘ
ZAKUPAMI W DOBREJ AURZE!**

KUP kartę podarunkową w biurze administracji
Centrum – doładuj dowolną kwotą – podaruj jako
prezent swoim najbliższym.

Karta podarunkowa Aura Centrum* czeka właśnie na Ciebie!



*Minimalna wartość zasilenia karty to 20 złotych.

*Okres ważności karty to 12 miesięcy od daty wydania.



Sama napisałam tę książkę, która otwiera przede mną nowe perspektywy. Sama znalazłam wydawcę i przebrnęłam przez proces wydawniczy. Oczywiście ze wsparciem bliskich i przyjaciół, ale sukces najpierw narodził się w mojej głowie i dziś jestem z siebie dumna. Trzymam mój „Labirynt strachu” w rękach i uśmiecham się do siebie. To jest moja nagroda za ciężką pracę.

— **Co najbardziej zaskoczyło bliskich, znajomych i czytelników?**

— Moi bliscy od samego początku mnie wspierali i pomimo tego, że wielokrotnie byłam nieobecna (duchem), to nigdy nie dali mi do zrozumienia, że ich zaniedbuję.

Niestety, czas, który im poświęcałam się skurczył i teraz większość wolnego poświęcam na pisanie. Czasami nie jest łatwo ze mną wytrzymać, bo jak piszę, potrzebuję ciszy i... najlepiej samotności. Ale mam przyjaciół przy sobie i to dodaje mi skrzydeł. Oczywiście byli zaskoczeni, że zajęłam się tym na poważnie, że się nie poddałam, że mam pomysły. To jest najczęściej zadawane mi pytanie: skąd mam pomysły? Zawsze odpowiadam: nie wiem, one po prostu są w mojej głowie. Moje pisanie bardzo długo było utrzymywane w tajemnicy. Wiedziała tylko rodzina i przyjaciele, dlatego jak się ujawniłam i utworzyłam swoją autorską stronę na Facebooku „Beata Nowosielska — Pisarka”, to było ogromne zaskoczenie, niedowierzanie i szok. Na szczęście pozytywny, otrzymałam ogromną ilość gratulacji i dobrych słów, za co bardzo wszystkim dziękuję! A czym jeszcze zaskoczę czytelników? Może właśnie niedopowiedzeniami w książce, tajemniczymi bohaterami i historiami, jakie im się przytrafiają. A może zaskoczę ich tym, że wkrótce będą moje kolejne książki?

— **Co teraz przed panią?**

— Nowe życie? (śmiech) A tak na poważnie, to dużo się dzieje, na chwilę obecną promocja mojej książki „Labirynt strachu”, ukończenie jego kontynuacji (został mi ostatni rozdział), wydanie książki, która jest napisana, i dbanie o czytelników. A potem... W kolejce czekają nowe pomysły, które aż się proszą o przełanie na papier. Nie marzę o urlopie ani o wakacjach. Odnalazłam się w pisaniu i to daje mi największą satysfakcję. Wystarczy mi trzy dni nad morzem i wracam naładowana rozpieszczającą mnie energią. Mam wielką nadzieję, że otwiera się przede mną nowy rozdział i może kiedyś poświęcę się tylko pisaniu.

— **Ale pisanie to nie jedyna pasja...**

— Kocham morze i każdą wolną chwilę tam spędzam, ładuję akumulatory i nabieram sił. Mam taki ulubiony cytat „O czym szumi morze? Co mówi, gdy nikt nie słucha?” Lubię siedzieć na plaży i patrzeć na wzburzone fale. Jeśli nie mogę jechać nad morze, jadę do naszego domu nad Łyną. Mało kto wie, że jest takie miejsce w Dywitach i tam słucham ciszy lub zamiast odpoczywać, szaleję z pisaniem! (śmiech) Kawałek świata już zwiedziłam i zamiast odkrywać nowe, często wracam do miejsc, które sobie upodobałam. Fascynuje mnie Chorwacja, która jest moim drugim domem. Oprócz tego jestem otwarta na poznanie nowych ludzi. Wychodzę z założenia, że każdy człowiek ma w sobie jakąś ciekawą historię. Lubię słuchać, czasami te historie mnie inspirują. Na koniec jednak przyznam się, że pisanie jest moją największą pasją! \\\

\\ **Beata Nowosielska** mieszka w Dywitach pod Olsztynem, z wykształcenia ratownik medyczny i magister fizjoterapii. Od kilku lat pracuje w Pracowni Histopatologii szpitala MSWiA w Olsztynie. Z zamiłowania pisarka. Od zawsze zakochana, w książkach, zaczytana w literaturze horrorach i thrillerach. Ciekawa świata i ludzi. „Labirynt Strachu” to jej debiut literacki.

”

TERMY DLA
AKTYWNEJ
RODZINY



MOŻNA TU
POZOSTAĆ
NA DŁUŻEJ

...



UNIKALNE
POOL PARTY

SPA, KTÓRE
CZERPIE
Z NATURY



“

POZNAJ NAS BLIŻEJ...

www.termywarminskie.pl | repcja@termywarminskie.pl



Stanisław Mikulski i Emil Karewicz po odświeżeniu na ul. Kołtątaja tablicy „Zaulek Stawki większej niż życie” (obok tej ściany powstała scena próby zabicia agenta J-23 Hansa Klossa) Fot. Wacław Kapusto

50 LAT TEMU KLOSS MIAŁ ZOSTAĆ ROZSTRZELANY NA KOŁŁĄTAJA

\\ CHYBA MOŻNA ZARYZYKOWAĆ STWIERDZENIE, ŻE HANS KLOSS JEST NIEŚMIERTELNY JAK JAMES BOND. LEGENDARNE SĄ TEŻ MIEJSCA, GDZIE KRĘCONO SERIAL. W LIPCU MIJA PIĘCDZIESIĄT LAT, GDY W OLSZTYNIE EKIPA ZACZEŁA KRĘCIĆ „STAWKĘ WIĘKSZĄ NIŻ ŻYCIE”.

Tomasz Śrutkowski miał 17 lat, gdy kręcono „Stawkę większą niż życie” w Olsztynie. To był 1967 rok.

— Interesowałem się filmem już od dziecka, mimo że w rodzinie nikt z kinem nie był związany. Dłatego, gdy dowiedziałem się, że w lipcu i w sierpniu będą kręcić „Stawkę...”, pomyślałem, że nie mogę tego przeoczyć — wspomina Tomasz Śrutkowski, olsztyński wydawca i dziennikarz. — Miałem wtedy rowerek i każdego dnia właśnie na nim się przemieszczałem, żeby być jak najbliżej ekipy filmowej. Gdy oni gdzieś jechali, ja mogłem za nimi podążać.

Gdy ekipa kręciła coś na starówce, byłem. Gdy na drodze do Szczytna, też byłem. Pojechałem też do Żalbek, do Dywit, nad Jezioro Kortowskie, na Dajtki, na Track. Kloss właśnie tam wyskakiwał z pociągu. Ekipa widziała, że cały czas obok nich się kręcą, więc mówili mi, że jutro będą tu, a pojutrze tam. Dzięki temu miałem fantastyczne wakacje z Klossiem. Miałem też ze sobą aparat, więc mogłem dokumentować, co widziałem. Przeważnie na planach obce osoby nie mogą robić zdjęć, ale na mnie nikt nie reagował. Traktowali mnie już jak członka ekipy.

Ekipa traktowała Tomasza Śrutkowskiego jak swojego. I nie tylko dlatego, że przyglądał się ich pracy z boku. Zdarzały się historie, gdy... przychodził aktorom z pomocą.

— Pamiętam scenę kręconą w Kortowie, gdy Stanisław Mirski musiał zamoczyć się w jeziorze. Było zimno, padało. Na pewno nikomu nie było przyjemnie — opowiada Tomasz Śrutkowski. — Miałem przy sobie termos z ciepłą herbatką. Aktorzy nic nie mieli, a trzęśli się z zimna. Wyjąłem więc termos, nalałem herbatę do kubka i oddałem w zziębnięte ręce Mirskiemu. Można zażartować, że uratowałem mu życie! To był starszy pan, ale zagrał

swoją scenę wymienienia! Pogoda jednak dała mu się we znaki. A moja herbata na pewno pomogła mu stanąć na nogi. Sam w jeziorze bym się wtedy nie zamoczył, a on wpadł i nawet okiem nie mrugnął.

W Olsztynie kręcono pięć odcinków: „Oblężenie” i „Spotkanie” pod kierunkiem Andrzeja Konica oraz „Wiem, kim jesteś”, „Podwójny Nelson” i „Wielka wyspa” pod okiem Janusza Morgensterna.

— To było miasto siermiężne w tamtych czasach. Starówki jeszcze nie odbudowano, była zniszczona wojną. Szczególnie ulica Kołłątaja i większość w pobliżu „dobrze” wyglądała. Nie były remontowane po wojnie. Były tak zapuszczone, że aż idealne do filmu — zauważa Tomasz Śrutkowski. — Ale nie tylko architektura zadecydowała o tym, że tu kręcili „Stawkę”. Większość niemieckich miasteczek, szczególnie Dolina Kłodzka i Zielona Góra, były bardzo daleko. Za daleko. A Olsztyn leżał blisko Warszawy.

Andrzej Konic, reżyser „Stawki”, wcześniej pracował w olsztyńskim teatrze i zrealizował kilka przedstawień. Poznał Olsztyn. Bohdan Głuszcak pokazywał mu tutejsze plenery, więc w pewnym momencie Olsztyn okazał się najlepszym miejscem do kręcenia serialu. Można było przywieźć taksówką aktorów z Warszawy i tego samego dnia ich odwiedzić. Mikulski był w Olsztynie cały czas, tu nocował. Nie grał w żadnym teatrze, więc nie musiał nigdzie „lecieć”. Inni natomiast wieczorami występowali na stołecznych scenach. Rano przyjeżdżali na plan, a potem taksówką gnali do Warszawy. Tak było na przykład z Bronisławem Pawlikiem, wysadzili go na parking, gdzie skręca się na Bartąg. Wyskoczył z samochodu, zagrał scenę w lesie i godzinę później znowu był w samochodzie.

Tomasz Śrutkowski nie jest w stanie zliczyć, ile zdjęć zrobił na planie. Każde ma dla niego wielką wartość.

Ekipa filmowa przed biblioteką w Starym Ratuszu. Odcinek „Spotkanie” Fot. Tomasz Śrutkowski





Ekipa filmowa przed wejściem do biblioteki w Starym Ratuszu, na pierwszym planie Barbara Brylska, za nią reżyser Andrzej Konic (koszulka w paski) - odcinek 17 „Spotkanie” Fot. Tomasz Śrutkowski

— Zdjęcia, które robiłem, odbijałem w domu i dawałem aktorom do podpisu — wspomina. — Kilka mam z Mikulskim, każde mi podpisywał. Cieszę się, bo każda fotografia opisana jest też datą. Wiem na przykład, że z Mikulskim spotkałem się 5 sierpnia. Po latach, gdy już się przyjaźniliśmy, pokazałem mu te zdjęcia. Nie pamiętał, że je podpisywał. Ale miałem dowód, więc nawet nie mógł zaprzeczyć.

Stanisław Mikulski może i swoich podpisów nie pamiętał, ale pracy w Olsztynie nie zapomniał.

— Wiele miejsc już się pozmieniało. Pamiętam jednak przystań nad jeziorem, gdzie były zatapiane skrzynie. Tam, gdzie w filmie miałem być rozstrzelany, gdzie dzisiaj jest zautek „Stawki większej niż życie”, wszystko się pozmieniało. Wtedy było śmietnisko, teraz stoi jakiś budynek — opowiadał aktor w 2011 roku w rozmowie z Gazetą. — W Olsztynie mieszkaliśmy w internacie szkół artystycznych (pielęgniarek przy ul. Marińskiej — red). W czasie wakacji budynek był pusty, więc ekipa filmowa, może było to ze trzydzieści osób, mogła go wynająć. Ale myśmy nie przyjechali wypoczywać, ciężko pracowaliśmy. Zaczynaliśmy o ósmej rano i do szóstej, siódmej, czasem do ósmej wieczorem, dopóki tylko było odpowiednie światło, kręciliśmy. Može zdarzyły się dwa, trzy dni przestoju, ale wtedy też nie mogliśmy się za daleko wypuszczać. Podziwialiśmy okolice. Zazdroszczę wam tej zieleni. Warszawa to przy Olsztynie kamienna pustynia.

Wiele miejsc pamięta jeszcze „Stawkę większą niż życie”. Na przykład na terenie akademickiego kampusu nad Jeziorem Kortowskim kręcono odcinek „Spotkanie” ze słynnym topieniem skrzyni zawierającej archiwum Ośrodka Wschód. Dziedziniec olsztyńskiego aresztu „zagrał” w odcinku „Wiem, kim jesteś”. Kloss ucieka w nim ze współwięźniami i przedostaje się przez więzienny mur. Budynek i dziedziniec olsztyńskiej dyrekcji PKP przy ul. Emilii Plater, gdzie dziś swoją siedzibę ma Urząd Marszałkowski, pojawiają się z kolei w odcinku „Podwójny nelson”.

Most nad Wadągą przy wjeździe do Dywit i droga z Olsztyna na Szczytno w okolicach jeziora Skanda — tu kręcono scenę jednego pościgu z odcinka „Podwójny nelson”. Pościg kręcono na drodze nr 53 wzdłuż Skandy, a samą scenę, w której samochód wpada do rzeki, dograno nad Wadągą. Ten drugi fragment znalazł się dodatkowo w czołówce serialu.

Olsztyńskie lotnisko posłużyło w filmie za poligon. W odcinku „Wielka wyspa” grany przez Józefa Pierackiego inżynier Meier przeprowadza próby nowego czołgu. W tym samym odcinku inż. Meier podwozi Klossa pod bramę zakładów Borsing Metall Werke AG. W filmie w rolę tej fabryki „wcieliła się” pocziwa olsztyńska gazownia przy ul. Knosaty, która działała do końca lat 70. XX wieku.

Olsztyńskie ulice: Kołłątaja, Prosta, Bolesława Chrobrego, Mieszka I, Okopowa, Most św. Jana oraz Zamek Kapituły Warmińskiej i park nad Łyną, to sceneria, w której kręcono odcinki „Wiem, kim jesteś”, „Podwójny nelson”, „Wielka wyspa”, a przede wszystkim „Spotkanie” i „Oblężenie”. Na czas zdjęć

do kultowej „Stawki” olsztyńska starówka zamieniła się m.in. w miasteczko Bischofsfelde, z którego niemieckie oddziały wypierały polską armię. Tu pojawiło się też uzdrowisko Lisek-Zdrój, na które zaadaptowano park nad Łyną.

W 2004 roku na starówce, na ulicy Kołłątaja w Olsztynie, umieszczono tablicę „Zautek Stawki większej niż życie”. Jej powstanie zainicjował Tomasz Śrutkowski.

— To były święta, szedłem z zięciem do katedry, gdy zaczęła mnie jedna pani. Powiedziała, że przyjechała z Wilna i szuka tej tablicy. Nie może jej znaleźć — opowiada Tomasz Śrutkowski. — Nie mogła lepiej trafić, bo to ja przecież tę tablicę załatwiłem! Poszliśmy do niej i zrobiliśmy sobie zdjęcia. Pytam: skąd takie zainteresowanie? Pani mi odpowiedziała: W Olsztynie nie ma wiele do oglądania. „Stawkę” przecież wszyscy znają, a ta tablica to niewiele... No właśnie. Nawet gdy zamykało się muzeum Klossa w Katowicach, które nie wypaliło, Olsztyn nie chciał tamtejszych eksponatów. W żadnym polskim mieście nie powstało aż tyle odcinków „Stawki”. Moglibyśmy się tym chwalić, bo naprawdę jest czym!

W Olsztynie planowano zbudować deptak i otworzyć coś na kształt muzeum. Jak dotąd, skończyło się na planach.

ADA ROMANOWSKA 

STANISŁAW BRZOZOWSKI 



Odcinek „Spotkanie”, ulicą Kołłątaja na rynek Starego Miasta wkracza niemieckie wojsko



ZAPRASZAMY DO ŚWIATA **PAPUG**



Przyjdź
i zobacz

OLSZTYN
ul. Lubelska 29c

Zadzwoń
i dowiedz się więcej

 **89 672 60 56**

Znajdź nas na Facebooku
PAPUGARNIA  **OLSZTYN**





SZTYNORT: CZY TEN PAŁAC MA JESZCZE SZANSĘ?

/// LEHNDORFFOWIE TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ ZNANYCH WSCHODNIOPRUSKICH RODÓW. MIESZKALI TU, BUDOWALI POSIADŁOŚCI, KOLEKCJONOWALI DZIEŁA SZTUKI I PRACOWALI PONAD 600 LAT. POZOSTAŁY PO NICH ZRUJNOWANE PAŁACE, ZDZICZAŁE PARKI I WSPOMNIENIA.

Kiedy stanęłam przed pałacem, mój dom powiedział mi: „Ratuj mnie” — mówiła Vera Lehdorff, córka ostatniego właściciela Sztynortu, która w grudniu 2008 r. przyjechała do Olsztyna i odwiedziła rodzinne strony. Głos jej się załamał.

—To był wzruszający moment, jakby dom był kimś żywym, błagającym o pomoc. Tyle przetrwałam — zdawał się mówić, nawet na-

rodowy socjalizm, teraz mi pomóż. Chciałabym, żeby w Sztynorcie coś się działo, by stał się miejscem kultury i spotkań — mówiła córka ostatniego mieszkającego tam przed wojną hrabiego Lehdorffa.

Vera Lehdorff, znana później modelka pracująca pod pseudonimem Veruschka, urodziła się w 1939 r. Sztynort był jej rodzową siedzibą, gdzie mieszkała z rodzicami i trzema siostrami do 1944 r.



— Był własnością rodziny Lehnendorffów, rodu związanego z innymi pruskimi domami, takimi jak Doenhoff i Eulenburg od połowy XV wieku — mówi Małgorzata Jackiewicz-Garniec, historyczka sztuki, współautorka książki „Pałace i dwory dawnych Prus Wschodnich”. — Do najbardziej znanych Lehnendorffów należał Ahaswerus (1637-1688), dyplomata w służbie króla Jana Kazimierza, elektora brandenburskiego i króla Danii. Od cesarza Leopolda I otrzymał w 1683 roku dziedziczny tytuł hrabiego. Z jego czasów pochodzi istniejąca do dziś w Sztynorcie aleja dębowa.

Wnuk Ahawerusa, Ernst Ahaswer Henryk von Lehnendorff (1727-1811), był przyjacielem Ignacego Krasickiego. Biskup często gościł w Sztynorcie. W jednym z listów do Ernsta pytał, czy jego „sklepiony” pokój jest gotowy?

— Pałac został gruntownie przebudowany w latach 1829-1880 — dodaje Jackiewicz-Garniec. — Pruscy arystokraci nie byli jednak tak oszczędni i świetnie gospodarujący, jak nam się wydaje. W 1896 r. Sztynort został objęty tzw. zarządem przymusowym. W 1901 r. sprzedano stadninę koni wyścigowych, inwentarz i lasy. Majątek liczył wówczas 3 600 ha, z czego 1000 zajmowały jeziora. Jednak ze wspomnień hrabiego Alvenslebena z 1930 r. wynika, że pałac był zasobny. Znajdowała się w nim niezliczona liczba obrazów, w tym portrety rodzinne. Były też flamandzkie gobeliny, zbiory miniatur, porcelany, pastelów oraz gdańskie meble.

Tak wyglądał pałac w 2013 roku, zdjęcie zrobione krótko po zabezpieczeniu dachu. Pałac nie został zniszczony w 1945 r., jednak po odejściu Rosjan z bogatego wyposażenia niewiele zostało Fot. Mirosław Garniec

Ostatnim Lehnendorffem w Sztynorcie był Heinrich, ojciec Very. Objął majątek w 1936 r., gdy miał 27 lat. Za jego czasów Sztynort rozkwitł. Jednak wybuchła II wojna światowa i hrabia walczył na froncie wschodnim. W pałacu pozostała jego żona i cztery córki — oprócz Very, Nona, Gabriela i Katharina. Ich ojciec zaangażował się w spisek pułkownika Clausa von Stauffenberga, który przeprowadził 20 lipca 1944 r. w Wilczym Szańcu pod Kętrzynem nieudany zamach na Hitlera. Wodzowi nic się nie stało. Spiskowcy, w tym Heinrich Lehnendorff, zostali straceni. Jego żonę i córki zamknięto w obozie pracy. Majątek zarekwirowano. Dostał go minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop.

Gdy do Prus Wschodnich wkroczyli Rosjanie, pałac ocalał, ale wyposażenie wnętrz: obrazy, cenne meble, gobeliny i bibeloty rozproszyły się po świecie. Część została wywieziona do Rosji, jako reparacje wojenne, część znalazła się w Lipsku, część korespondencji handlowej znajduje się w Archiwum Państwowym w Olsztynie.

Swoje dobra utracili również Lehndorffowie z Trakehnen (dzisiaj obwód kaliningradzki). Piękne świadectwo o końcu ich świata pozostawił Hans Lehndorff w swojej książce „Dziennik z Prus Wschodnich”. Był synem Siegfrieda i Marii von Oldenburg z Januszewa. Ci Lehndorffowie mieli pięciu synów i córkę. Wojnę przeżył tylko Hans i jego ojciec. Hans był lekarzem i pracował w obłożonym przez Rosjan Koenigsbergu.

Po kapitulacji Niemiec uciekł stamtąd do Polski, gdzie pracował jako lekarz w Suszu. Do Niemiec udało mu się wyjechać dopiero 1947 r. W Niemczech pracował jako ordynator w Godesbergu pod Bonn. Poślubił Margaretę Finck von Finckenstein z Jaśkowa. Wspomnienia Hansa Lehndorffa są nie tylko przejmującym epitafium dla wschodniopruskiej Atlantydy. Pomagają też zrozumieć mentalność i etos pruskiej arystokracji.

Vera Lehndorff studiowała sztukę. Miała 183 cm wzrostu i kiedy jako 20-latką pojechała do Florencji, została tam odkryta jako modelka. Przyjęła artystyczny pseudonim Veruschka. W szczytowym okresie swej kariery zarabiała 10 tys. dolarów dziennie. Wystąpiła też w kilku filmach. Najbardziej znany to „Powiększenie” Antonioniego, gdzie zagrała siebie. W „Casino Royale” wystąpiła w roli hrabiny Wallenstein.

Tymczasem pałac w Sztynorcie po zakończeniu wojny był siedzibą PGR-u. Po transformacji został sprzedany w prywatne ręce i mimo zobowiązań nowych właścicieli, niszczał. W sprawie ratowania Sztynortu odbywały się konferencje i spotkania. I właśnie w 2008 r. Veruschka przyjechała na seminarium „Sztynort — utracone dziedzictwo czy szansa na ocalenie?”. Rok później firma Tiga, właściciel Sztynortu, podarowała pałac Polsko-Niemieckiej Fundacji Ochrony Zabytków. Natomiast port i 50 ha ziemi sprzedała firmie deweloperskiej, która planowała budowę nad Jeziorem Sztynorckim domów jedno- i wielorodzinnych.

Co słychać w sprawie pałacu teraz?

— Jest duży progres — mówi mec. Wojciech Wrzecionkowski, prezes Polsko-Niemieckiej Fundacji Ochrony Zabytków. — Trwają prace nad projektem, który jest niezbędny, byśmy mogli starać się o unijne pieniądze na remont. Mamy nadzieję na 2 mln euro od Bundestagu.

Czy to dużo, czy to mało?

— Oceniam, że na remont i zagospodarowanie pałacu potrzeba około 14-15 mln euro — odpowiada mecenas i dodaje, że dzięki staraniom fundacji pałac został zabezpieczony przed dalszym niszczeniem. Zostały wzmocnione fundamenty i mury, odnowiono dach i naprawiono wieżyczkę. Zrobiono podłogi w piwnicy i wyremontowano kaplicę.

— Co roku mamy około milion zł z różnych źródeł na prace remontowe — mówi Wrzecionkowski. — Dzięki temu pałac jest dobrze zabezpieczony na 20 kolejnych lat. Remont Sztynortu wspiera również rodzina Lehndorffów. Sprzedała część wyposażenia pałacu, odzyskaną z dawnych NRD-owskich muzeów i przekazała na rzecz remontu 50 tys. euro. — I Veruschka nadal odwiedza swój rodzinny dom — informuje prawnik.

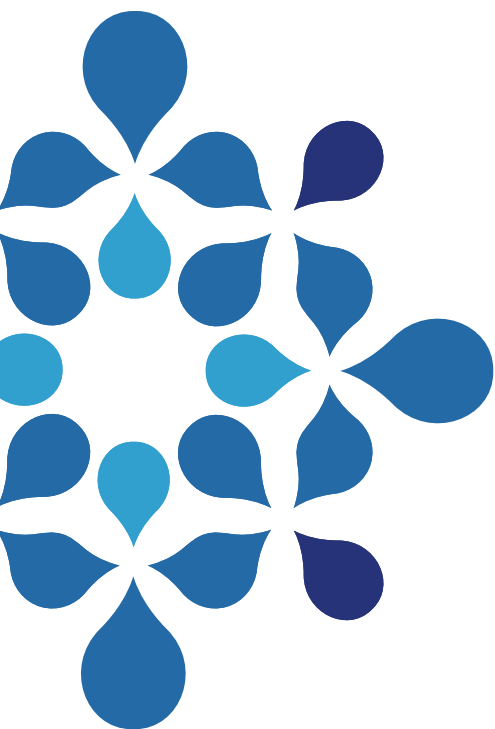
W Sztynorcie miało być historyczne muzeum, międzynarodowa Akademia Wspólnego Dziedzictwa Kulturowego oraz tzw. Strzecha Budowlana, czyli warsztaty rzemieślnicze dla młodzieży. Jednak plany zostały mocno ograniczone. Jak powiedział nam Wojciech Wrzecionkowski w pałacu ma być małe muzeum i kilka apartamentów.

Małgorzata Jackiewicz-Garniec podkreśla wyjątkowość Sztynortu. Jako jeden z nielicznych majątków przez wieki należał do tej samej rodziny. — Ale po zakończeniu wojny nie miał szczęścia do właścicieli — mówi historyczka sztuki. — Planowane muzeum, ze względu na związki Lehndorffów z Polską mogłoby stać się miejscem wspólnej pamięci, ale też świadectwem szeroko rozumianej kultury rolniczej dawnych Prus. Wielkie majątki ziemskie stanowiły o tożsamości regionu.

**EWA MAZGAŁ **



ZADZWOŃ I ZAMÓW 734 734 600



PRZYWIEZIEMY PROSTO DO DOMU
DOSTAWA JUŻ OD **1 SKRZYNKI**

DOSTAWA WODY I NAPOJÓW DO DOMU, FIRM, ZAKŁADÓW PRACY
NA PRZYJĘCIA WESELNE I INNE IMPREZY OKOLICZNOŚCIOWE.

≡ TWOJA WODA DO DOMU ≡

Naturalna woda źródłana

Orzeźwia, skutecznie gasi pragnienie.

Wyśmienita w połączeniu z lodem i cytryną jak i syropem smakowym.

Pomarańcza

Wyśmienity napój o smaku soczystej pomarańczy.
Doskonały dodatek do drinków.



Brzoskwinia

Smak prawdziwej brzoskwini.
Na bazie wody źródlanej.
Egzotyczny smak lata.



Lemoniada

Doskonałe orzeźwienie.
Wspaniale smakuje z lodem i liściem mięty.



Ananas

Niezapomniany smak soczystego ananasa,
do którego będziesz chętnie powracać.



NAPOJE GAZOWANE

WODY ŹRÓDLANE



NAPOJE GAZOWANE

Cola-Cola

Nie wstydźmy się dobrych wzorców.
To dlatego nasza Cola zdobyła
uznanie naszych klientów.



Grejfrut

Orzeźwia i gasi pragnienie.
Doskonały na upalne letnie dni.



Gruszka

Nowy smak, po który z pewnością sięgniesz
Po raz kolejny, jak tylko go spróbujesz.



OFERTA ASORTYMENTOWA

Woda Pierrot / op. 24 szt. po 0,33 l

gazowana

16 zł

niskogazowana

16 zł

niegazowana

16 zł

Napoje gazowane Pierrot / op. 24 szt. po 0,33 l

oranżada
lemoniada

18 zł
18 zł

pomarańcza
cola cola

18 zł
18 zł

gruszka
zielony owoc

18 zł
18 zł

Oranżada Biała/Oranżada Czerwona
Klasyczny smak oranżady.



Czerwony Owoc/Zielony Owoc
Odważny i intensywny smak cytrusów.



wodapierrotolsztyn@gmail.com i www.wodapierrot.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. GRUPA WM Sp. z o.o.



Postać Andrzeja Kmicica w filmie Jerzego Hoffmana „Potop” grał Daniel Olbrychski
pot.mat. dystrybutora filmu

CZY KMICIC WALCZYŁ POD OLSZTYNKIEM?

\\ HENRYK SIENKIEWICZ JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ DRAMATYCZNYCH SCEN „POTOPU” UMIEŚCIŁ POD PROSTKAMI. TAM KMICIC PORWAŁ BOGUSŁAWA RADZIWIŁŁA. CZY TAK BYŁO NAPRAWDĘ? OPOWIADA O TYM PROFESOR SŁAWOMIR AUGUSIEWICZ, HISTORYK Z UWM.

— **Panie profesorze, jakie znaczenie miała bitwa pod Prostkami z 8 października 1656 roku? O bitwie pisał w „Potopie” Henryk Sienkiewicz. Tam Andrzej Kmicic wziął do niewoli księcia Bogusława Radziwiłła.**

— Bitwa pod Prostkami była prestiżowa, ponieważ Polacy pokonali Szwedów i Brandenburczyków w otwartym polu, co w czasie potopu szwedzkiego nie zdarzało się zbyt często. Wincenty Gosiewski, hetman polny litewski, miał przedostać się na Żmudź, gdzie trwało antyszwedzkie powstanie, by je wesprzeć. Po bitwie nie rozwijał ofensywy w Prusach Książęcych i nie kontynuował pochodu na Królewiec, co zarzucają mu niektórzy historycy, bo nie takie miał zadanie. Drugi aspekt tej kampanii to Tatarzy, którzy byli przy hetmanie Gosiewskim. Żyli z łupów, a najcenniejszym dla nich łupem byli jeńcy. Na ziemiach polskich nie mogli ich porywać, a w Prusach, wrogim kraju, pozwolono im na to.

— **Rozumiem, że Tatarzy podpalali wsie, zabierali kury i krowy...**

— Czy kury, to nie wiem, na pewno zabierali ludzi. Potem sprzedawali ich do Turcji. Mamy informacje o takich niewolnikach z Prus Książęcych, którzy byli w Konstantynopolu albo w Galacie.

— **Tych ludzi wykupowano, czy też zostawali w niewoli na zawsze?**

— To zależało od tego, czy ich rodzinę było na to stać. Nie znamy wszystkich mechanizmów wykupów. Ale znamy przypadki jeńców znad Żółtych Wód i spod Korsunia z czasu powstania Chmielnickiego, którzy wrócili do Polski. Znamy też historię dwóch jeńców spod Prostek i z najazdu na Prusy. Jeden z nich, pochodzący spod Olecka, wrócił po 25 latach do domu, którego właściwie nie miał, bo jego żona wyszła w tym czasie drugi raz za mąż. Człowiek ów zwrócił się w tej sprawie do sądu w Królewcu. Drugim przypadkiem był żołnierz Kacper von Kalkreuter z Saksonii, który służył w armii szwedzkiej i dostał się do niewoli tatarskiej pod Prostkami. Wrócił z tureckiej niewoli też po 25 latach.

— **Tatarzy wzięli do niewoli Bogusława Radziwiłła. Czy to prawda, że kiedy kazano im go oddać, obrazili się i porzucili służbę u hetmana?**

— Radziwiłł dowodził grupą szwedzką, która została okrążona nad rzeką Etk i tam został schwytany. Książę pozostawił autobiografię i znamy tę historię z pierwszej ręki. Panowie litewscy z otoczenia hetmana Gosiewskiego kazali Radziwiłłowi Tatarom odebrać. Wypłacono im nawet 2 tys. talarów, co było znaczną kwotą. Podpisano też weksel na kolejną sumę. By zastąpić księcia w niewoli, dobrowolnie zgłosił się żołnierz litewski Piotr Gnoiński. Sprawa ciągnęła się przez 6 lat. Tatarzy grozili nawet, że zamordują zakładnika, jeśli Bogusław nie wykupi weksla. Księciu procesami groziła również rodzina żołnierza. Gnoiński odzyskał wolność dopiero w 1662 roku.

— **Czarna legenda Bogusława Radziwiłła jest w Polsce wciąż żywa.**

— I słusznie.

— **Ale to ciekawa postać i charakterystyczna dla tamtych czasów. Jego matka była z domu Hohenzollern, a więc otrzymał kosmopolityczne wychowanie. Był poszukiwaczem przygód, podróżnikiem, żołnierzem różnych armii i polskim wielkim panem. Ale czy był zdrajcą? Może po prostu wybrał inną wizję państwa niż złota szlachecka wolność?**

— Młodzi historycy próbują Bogusława usprawiedliwić i pokazać w innym świetle. Awanturnikiem był tylko w młodym wieku, kiedy bawił w Niderlandach. Brał udział w wojnie trzydziestoletniej, był we Francji, trafił na jeden dzień do Bastylii. Są to historie z gatunku płaszcza

i szpady. Kiedy jednak wrócił do Polski, usatkwował się. Zbliżył się do króla Jana Kazimierza, któremu pomógł wcześniej odzyskać wolność z francuskiego więzienia. Jan Kazimierz mianował go generałem swojej gwardii.

— **To z czego wynikała zdrada?**

— Mogła wynikać z wewnętrznej sytuacji. Janusz Radziwiłł, brat stryjeczny Bogusława, popadł w konflikt z królem. A w czasie potopu szwedzkiego był zdrajcą, choć osoba Janusza Radziwiłła też nie jest oceniana jednoznacznie. Ale w bitwie pod Warszawą, gdy król z całą armią walczył ze Szwedami, Bogusław jest po ich stronie. To jednoznaczna zdrada króla i Rzeczypospolitej.

Po bitwie pod Prostkami, kiedy wydostał się z niewoli — w czym pomógł mu bardzo hetman Gosiewski w zamian za Birzę i Kiejdany — książę starał się o amnestię i cofnięcie banicji. Przebywał w Królewcu u swego krewnego — elektora Fryderyka Wilhelma. Kiedy doszło do podpisania traktatów polsko-brandenburskich w Bydgoszczy, Bogusław uzyskał od Jana Kazimierza przebaczenie. Zwrócono mu też majątki. Starał się potem również o odzyskanie majątków po Januszu. Nie powodziło mu się najlepiej, ale pomagała mu pensja od elektora brandenburskiego, który powierzył mu urząd gubernatora Prus Książęcych.





— To była funkcja honorowa?

— Nie. Szła za nią konkretna pensja i władza. Bogustaw był też dowódcą wojsk stacjonujących w Prusach Książęcych. Nie kreował polityki brandenburskiej, ale miał pewne kompetencje, mógł w imieniu elektora układać się z Rosjanami, którzy wówczas toczyli wojnę z Rzeczpospolitą.

— **Teraz rozumiem, dlaczego Bogustaw został pochowany w katedrze w Królewcu. Podobno zmarł, polując na kuropatwy pod miastem.**

— Było trochę inaczej. Bogustaw wracał ze spotkania w Świętej Siekierce koło Braniewa. Było to 31 grudnia 1669 roku, w mroźny dzień. Bogustaw leczył się już wówczas na różne choroby, m.in. weneryczne. Był otyły, cierpiał na podagrę, prawdopodobnie przechodził ataki serca. Nie przypominał przystojnego Leszka Teleszyńskiego, który zagrał Bogustawa w „Potopie” Jerzego Hoffmana.

I kiedy wracał do Królewca, wyszedł z karety, bo słudzy powiedzieli mu, że na polu są kuropatwy. Książę wystrzelił, stojąc przy karecie. Kiedy wsiadł do pojazdu, załamał i zmarł. Zachowała się relacja sługi i towarzysza tej podróży Konarskiego z tych zdarzeń. Jest jeszcze protokół z sekcji zwłok. Ciało księcia zostało zabalsamowane. Bogustawa pochowano 6 maja 1670 roku w katedrze w Królewcu. Osierocił córeczkę Ludwikę Karolinę.

— **Wróćmy jeszcze pod Prostki. Po stronie polskiej walczył Gabriel Wojniłowicz i to on był dowódcą Tatarów. Czy nie jest prototypem Sienkiewiczowskiego Kmicica?**

— Ma żywot bardziej kmicicowy niż Sienkiewiczowski pan Andrzej! Ale prototypem powieściowego bohatera był Samuel Kmicic, chorąży orszański, działający w czasie potopu szwedzkiego i po nim. Wspomina o nim m.in. Pasek, który opowiada, jak Kmicic „podchodził” Chowańskiego. Sienkiewicz swemu Kmicicowi dał jednak na imię Andrzej.

— **A jakie były losy Gabriela Wojniłowicza?**

— Nie wiemy, kiedy się urodził, ale na kartach historii pojawił się podczas bitwy nad Żółtymi Wodami w 1648 roku. Dowodził wtedy pułkiem kaniowskim Kozaków rejestrowych. Potem go spotykamy w wojskach nadwornych księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Na pewno walczył pod Beresteczkiem w 1651 roku, potem pod Białą Cerkwią.

Po śmierci Wiśniowieckiego w 1651 roku otrzymał własną chorągiew. W 1653 roku widzimy go w poselstwie do Tatarów. Potem walczył przeciwko Moskwie. Był dość typowym przykładem oficera armii koronnej tamtego czasu. Wyróżnił się zwłaszcza podczas potopu szwedzkiego. Był jednym z pierwszych albo może pierwszym oficerem, który porzucił służbę szwedzką. To on zaatakował oddział zdrajcy Aleksandra Praskiego i rozstrzelał go. Wówczas broniła się jeszcze Częstochowa, jeszcze Jan Kazimierz nie wrócił do kraju.

I tutaj pokazał się kmicicowy charakter Wojniłowicza. Prowadził działania partyzanckie na Pogórzu pod Krakowem, rozbijał garnizony szwedzkie i wiele z nich wyciął. Potem działał przy boku Stefana Czarnieckiego. Po bitwie pod Warszawą, w sierpniu lub wrześniu 1656 roku, objął komendę nad Tatarami, z którymi walczył pod Prostkami. I tu jest punkt stychny z literacką biografią Kmicica. Wojniłowicz odebrał księcia Bogustawa Tatarom, pamiętamy opisaną przez Sienkiewicza scenę starcia obydwóch rycerzy, kiedy to Kmicic tak uderzył ręką szablą w czoło konia Wojniłowicza, że wierzchołek przysiadł na zadzie.

Kiedy Gosiewski poszedł na Żmudź, Wojniłowicz aż do lutego 1657 roku działał na pograniczu mazowiecko-pruskim. Prawdopodobnie jego wyczynem jest wycięcie Dąbrówna, Pasymia, prawdopodobnie podchodził też pod Olsztynek.

EWA MAZGAŁ \\\



Prof. Sławomir Augustusiewicz: prototypem powieściowego Kmicica był Samuel Kmicic, chorąży orszański, działający w czasie potopu szwedzkiego i po nim.

Jeden z pierwszych
ESCAPE ROOM W POLSCE

UCIEKNIJ NA WAKACJE z Mr Escape



KŁAYWA PARAFNA



ZEMSTA GANGSTERA



Dom Strachów



IZBA PRZYJEC

www.MrEscape.pl • tel. 506 760 033
Olsztyn, Nowowiejskiego 7

ANNA, KTÓRA SKRADŁA SERCE MIKOŁAJA

\\ NAZYWAŁA SIĘ ANNA SCHILLING. ZAMĘŻNA GOSPODYNIA I DOMNIEMANA KONKUBINA MIKOŁAJA KOPERNIKA. ASTRONOM POMAGAŁ JEJ PODCZAS ROZWODU Z MĘŻEM. SPRAWA NABRAŁA ROZGŁOSU, A PO ŚMIERCI KOPERNIKA KANONICY ZASTANAWIALI SIĘ, KOGO ANNA UWIEDZIE.

O becność Anny Schilling u boku Mikołaja Kopernika kojarzona jest ze schyłkiem jego życia. Zdaniem dr. Jerzego Sikorskiego, jednego z największych w Polsce badaczy życia Kopernika, dopiero wtedy biskup Jan Dantyszek stał do astronoma „ojcowskie upomnienia”, a cała sprawa nabrała rozgłosu.

— Można sądzić, że była to długotrwała zażyłość, która zrodziła się u początków reformacji, która wkroczyła na Warmię mniej więcej w latach 1522-1525 — mówi dr Jerzy Sikorski. — Rezydujący we Fromborku kanonicy byli niemal pewni, że zniesienie celibatu, na wzór luterkański, jest tylko kwestią czasu. Do kręgu kapituły wkroczył więc konkubinat.

Wiadomo, że okoliczności temu sprzyjały. Kanonicy mieszkali w osobnych kuriach otoczonych ogrodami i każdy z nich zatrudniał gospodynię. Nic więc dziwnego, że gospodynie stawały się kochankami. — Dwaj najbliżsi przyjaciele Kopernika: dr i kanonik Aleksander Sculteti i dziekan kapituły Leonard Niederhof swoje gospodynie traktowali jak żony. Scultetiemu gospodyni urodziła dwójkę dzieci — mówi dr Sikorski.

I dodaje, że nie mamy powodów, by sądzić, że nasz wielki astronom pozbawiony był ludzkich uczuć i jedynie kibicował swoim przyjaciółom w sprawach damsko-męskich. Tym bardziej że Mikołaj Kopernik też zatrudniał gospodynię. O imieniu Anna.

Pojawiła się we Fromborku około 1525 roku, kiedy Mikołaj miał 52 lata. Przybyła więc w czasie, gdy astronom intensywnie pracował nad ukończeniem swego dzieła. Można zatem przypuszczać, że nie od razu coś między nimi zaiskrzyło. Wiemy też, że Anna była młodsza od Mikołaja o co najmniej 25 lat.

W 1529 roku wyszła za mąż za mieszczanina fromborskiego, który dał jej swoje nazwisko Schilling i zaraz potem wróciła pod dach Kopernika. — Około 1530 roku Kopernik ukończył swoje dzieło i nagle miał dla siebie bardzo dużo czasu, rozglądał się wokół siebie i przed jego oczyma stanęła Anna — stwierdza dr Sikorski.

Niedługo potem był już proces rozwodowy, Anna „uskarżała się bowiem na niemoc męża”. Pomagał jej Mikołaj, a rozwód był w kompetencji kustosa kapituły Tiedemanna Giesego, czyli znajomego Kopernika. Mimo to gospodyni rozwodu nie dostała, bo nie potrafiła przekonać, że małżeństwo nie zostało skonsumowane.

Jednak Anna nadal mieszkła u Kopernika. W 1531 roku sprawa dotarła do biskupa Maurycego Ferbera, którego astronom leczył. Jednak w obliczu oficjalnego donosu biskup nie mógł zareagować. I delikatnie upomniął Kopernika.

Astronom w swoim liście z 27 lipca 1531 roku tłumaczył się speszony: „Ponieważ rozumiem, że płynie stąd o mnie zła opinia, tak ułożę swoje sprawy, żeby nikomu nie dawać uzasadnionych podstaw, by potem na mnie źle patrzono”. Jednak Anny Mikołaj się nie pozbył, ale ten fakt wyszedł na jaw dopiero po kilku latach.

W 1537 roku zmarł biskup Ferber i od jesieni tego samego roku nastał w Lidzbarku Jan Dantyszek. — I choć sam ze swych biskupich dochodów stał alimenty córce, która była w Hiszpanii, ostro zareagował, gdy mu doniesiono, że Kopernik żyje w konkubinacie — tłumaczy dr Sikorski. — Natychmiast wystął Mikołajowi polecenie, by zwolnił gospodynię.

Kopernik natomiast obiecywał: „Będę zważał, jak tylko potrafię, abym nie był obrazą dobrych uczynków”. I chociaż rzekomo Anna odeszła, w 1539 roku okazało się, że wcale tak się nie stało. Dantyszek czuł się wystraszone, że nie panuje nad sytuacją. Nakazał Scultetiemu przepędzić „nierządnicę z dziećmi”, po raz kolejny upomniął też Kopernika. Natomiast konkubina Niederhofa zmarła w międzyczasie.

Dantyszkowi o „fromborskich ładacznicach” donosił prepozyt kapituły Paweł Płotowski. W 1539 pisał: „jedna, Aleksandra, ukrywa się w domu”,



DD Astronom w liście z 27 lipca 1531 roku pisał: „Ponieważ rozumiem, że płynie stąd o mnie zła opinia, tak ułożę swoje sprawy, żeby nikomu nie dawać uzasadnionych podstaw, by potem na mnie źle patrzono”.

zaś „kobietka doktora Mikołaja odesłała swoje rzeczy do Gdańska, ale nadal pozostaje we Fromborku”. Dantyszek o pomoc poprosił Giesego, który zapewne coś doradzał astronomowi, ale też przestrzegł biskupa: „godzi się, aby Wasza Przewielebność nie zawierała zbyt donosicieli”.

Konkubinat raził w oczy zawistników. Po śmierci Mikołaja wydawało się, że teraz będzie już spokój. Tymczasem pół roku później we Fromborku ponownie pojawiła się Anna i kanonicy zastanawiali się, kogo tym razem będzie chciała uwieść.

Dantyszek w liście do kanoników natychmiast zareagował: „Trzeba obawiać się, aby nie owładnęła którymkolwiek innym z was sposobami, jakimi otumaniała tego, który nie tak dawno temu zeszedł ze świata”. I Annę wygnano ponownie, tym razem już na dobre.

Nie zachował się żaden portret Anny Schilling, ale można sądzić, że niebezpieczny powab miała jeszcze w 1543 roku, czyli już po śmierci astronoma. Należy też zauważyć, że Kopernik nie miał święceń kapłańskich. W tamtym czasie jedynie Tiedemann Giese był wyświęconym kanonikiem.

Z kolei domniemany konkubinat Mikołaja Kopernika z Anną Schilling to jeden z dowodów na to, że astronom był facetem z krwi i kości, a nie — jak niektórzy jeszcze sądzą — kobietą.

— Nie wiadomo też, jak to wyglądało, kiedy astronom studiował na przykład we włoskiej Bolonii. Studenteria w tych czasach miała dużą swobodę w sprawach damsko-męskich. Możemy jednak przypuszczać, że skoro Kopernik chodził na wino, to i z kobietami się zadawał. Świętym nie był — mówi dr Jerzy Sikorski.

MATEUSZ PRZYBOROWSKI \\\

Smaki pełne słońca



taste
like
Greece



Olsztyn, ul. Staromiejska 16 (przy Wysokiej Bramie)
tel. 89 527 93 72, 506 367 287, www.grecja.pl





NA MAZURACH NAJBARDZIEJ LUBIĘ PASKUDNY LISTOPAD

\\ OD MAZUR JEST UZALEŻNIONY. OD ICH SMAKÓW, KOLORYTU, NATURY. KIEDY WIĘC TYLKO MOŻE, WYRYWA SIĘ Z WARSZAWY I PĘDZI NA SVOJĄ WIEŚ. TUŻ POD RESZLEM. MARCIN MELLER OPOWIADA NAM O TYM, CO FASCYNUJE GO W MAZURSKICH KLIMATACH. Fot. archiwum prywatne

— **Podobno uwielbiacie śpiewać, kiedy jedziecie na Mazury. Co nuciście najczęściej?**

— Przeanalizujemy. Repertuar zależy od tego, czy jedziemy całą rodziną czy jadę sam. Ostatnio dzieci uwielbiają słuchać w samochodzie audiobooków o Pippi Langstrumpf i „Dzieci z Bullerbyn”. Tego słuchamy w momencie, kiedy zażądają tego dzieci. A co do muzyki. Niestety zaraziłem dzieci swoją miłością do Morrisseya. Są fanami jednej płyty tego artysty, a w dodatku jednej piosenki — „That’s how people grow up”. W czasie drogi na Mazury rządzi więc Morrissey.

— **A kiedy przyjeżdżacie na Mazury, to tam, obok muzyki, rządzi natura? Czy przebywanie wśród mazurskich pól i lasów łagodzi obyczaje?**

— Kiedy znajdziemy się na naszej mazurskiej wsi, trafiamy do zupełnie innego świata. To, co tam znajdujemy, to kompletne wyciszenie. Najlepszym sposobem na spędzenie wolnego czasu jest obserwowanie przyrody. Wystarczy usiąść i zapatrzyć się na las, łąkę i czekać, aż pojawi się jakaś zwierzyna. Warszawa i Mazury to dwa kompletne różne światy. Kiedy jadę samochodem i mijam Szczytno, już zaczynam cieszyć się na myśl, co mnie zaraz czeka. Kompletny spokój.

— **Ktoś mógłby powiedzieć, że nie jest pan utożsamiany ze spokojem...**

— W Warszawie mam nieustanną gonitwę, godzę kilka zajęć jednocześnie, więc cenię ten mazurski spokój. Tam mogę złożyć gumowce, sprawdzać się najlepiej, i zwolnić. Kiedy ostatnio, po raz kolejny zresztą, odwiedzili nas nasi przyjaciele ze Stanów Zjednoczonych, stwierdzili, że nigdy nie widzieli mnie tak szczęśliwego jak w tamtych okolicznościach przyrody. Sąsiedzi już się do nas przyzwyczaili, bo przyjeżdżam na wieś od wielu lat. Jestem już dla nich pół-mazurski.

— **Jest pan jednak rozpoznawalną osobą, więc jak radzi sobie pan z popularnością na Mazurach?**

— Na początku, kilka lat temu, panie kasjerki w jednym z supermarketów dziwiły się, że kupuję wiadro albo ręczniki lub prześcieradło. Toczyły się więc na ten temat pogawędki. Teraz miejscowi już się przyzwyczaili. W sezonie czasem zaczepi mnie jakiś turysta. W przypadku tubylców straciłem już aspekt nowości.

— **A pana Mazury jeszcze zaskakują?**

— Cały czas coś mnie zaskakuje. Śmieję się czasem, że nasze Mazury to nasza pół-Gruzja, bo czas jest wartością umowną. Kiedy jesteśmy na miejscu, musimy wyjść z myślenia warszawskiego, takiego zadaniowego. W Warszawie to działa, w okolicach Reszla niekoniecznie. Fascynujące jest to, że wciąż poznaję nowych ludzi. To jest kapitalne.

— **Kogo pan ostatnio spotkał?**

— A choćby Zbyszka i Dorotę, którzy prowadzą Stację Wodną w Sorkwicach. Paradoksalnie, mimo że mieszkam niedaleko, nigdy nie mogłem wybrać się na kajaki. O ironio, moja szalona współprowadząca z „Dzień dobry TVN” — Magda Mołek z mężem przyjechali do nas na Mazury i wyciągnęli nas na nie. Teraz zrobiło się tak, że wpadamy do Sorkwit popływać, ale też by zwyczajnie porozmawiać. Takich ludzi jest mnóstwo i boję się tutaj wymieniać, żeby kogoś nie pominąć. To jest właśnie super. Ten świat różni się tak od tego warszawskiego, że ma na nas ozdrowieńczy wpływ.

— **Co to oznacza dla pana, że na Mazurach czuje się pan bardzo dobrze?**

— Na Mazurach ładuję akumulatory. Tutaj odpoczywa nie tylko umysł, ale i ciało. W Warszawie mam cztery różne prace, wykonywane jednocześnie i wiele różnych obowiązków. Moja wieś na Mazurach jest najlepszym lekiem na wszystko.

— **Widział pan wiele pięknych miejsc na całym świecie. A jak na tym tle wypadają Mazury?**

— Jestem z Warszawy, więc mój związek z nimi zaczął się już w dzieciństwie. Jeździłem tam na wakacje z rodzicami. Mój pierwszy samotny wyjazd odbył się w wieku 15 lat. Pojechaliśmy wtedy z kumplem nad Jezioro Nidzkie. Nie było roku, bym na Mazury nie jeździł. Traf chciał, że dziesięć lat temu ktoś z rodziny kupił ten dom, którego teraz jesteśmy właścicielami. Cztery lata temu go od nich odkupił. Mam jednak jeszcze kilka swoich ulubionych miejsc. Wśród nich są Bieszczady i Pomorze Zachodnie. I tak naprawdę fakt, że wybrałem gminę Reszel było kwestią przypadku. Ale zachwycającego przypadku. Reszel jest cudowny. Gotyckie mosty, imponujący gotycki kościół farny św. Piotra i Pawła. A kilka kilometrów dalej sanktuarium w Świętej Lipce i jego sławetne organy. No i genialne okolice na rowery. Jestem miłośnikiem Reszla. Pamiętając, że to już Warmia, bo przez naszą gminę przebiega granica historyczna Warmii i Mazur. Ja jestem kilkaset metrów po mazurskiej stronie.

— **A pana żona nawet zaśpiewała w Reszlu...**

— To była inicjatywa chłopaków z zaprzyjaźnionej reszelsko-kętrzyńskiej kapeli rockowej Ukryta Strona Miasta. Świetny koncert w restauracji Rycerska przy rynku w Reszlu. Dali czadu! Przez te lata zawiązało się tyle znajomości, że aż trudno je zliczyć.

— **A jakie smaki poznaliście? W jednej z knajpek na rynku w Reszlu serwują znakomitą pizzę.**

— Byłem raz, była w porządku. Jeśli jestem w Reszlu, to idziemy coś zjeść do Rycerskiej albo na Zamek. Mają tam przepyszną zupełną szczawiową. Potem jadamy lody i ciastka w kawiarni na rogu, tuż obok kościoła. Znaleźliśmy też fantastyczny kulinarny skarb i zajazd pani Zosi w Szestnie pod Mrągowem. To jedno z naszych wielkich odkryć. Jej kotłuny w rosole są nieziemskie! No i po sąsiedztwie w Warpunach. A sery owcze od Sylwii i Rustana z rancza, też w Warpunach? O jedzeniu mógłbym opowiedzieć kompletnie nową historię. Jestem maniakiem jedzenia, więc potrafię przejechać kilkadziesiąt kilometrów, by sprawdzić, jak smakuje nowa potrawa.

— **Można więc powiedzieć, że jest pan uzależniony od Mazur.**

— Nie wyobrażam sobie bez nich życia. Najbardziej lubię paskudny listopad. Na Mazurach nikogo nie ma. W Mrągowie pustki, breja, deszcz. A ja w zakupionych w jednym ze sklepów w Reszlu kaloszach chodzę po okolicy. Kiedy mam przerwę i nie ma mnie na mojej wsi przez dłuższy czas, wciąż krąży mi po głowie myśl: „wyrwać się, wyrwać się stąd jak najszybciej. I być znów na Mazurach”.

KATARZYNA JANKÓW-MAZURKIEWICZ \\\



Miejscowi już się do mnie przyzwyczaili. W sezonie czasem zaczepi mnie jakiś turysta. W przypadku tubylców straciłem już aspekt nowości.



sprawdź

www.lokatyziemskie.pl

nie czekaj z kupnem ziemi
**kup ziemię
i czekaj**





CO WSPÓLNEGO MAJĄ ŻOŁĘDZIE I MYSZY Z WYSYPEM KRWIOPIJCY

\\\ CO ROKU POWRACA TEMAT NIEZNOŚNYCH... KLESZCZY. NAUKOWCY ODKRYLI, ŻE DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ, CZY W DANYM ROKU BĘDZIE ICH WIĘCEJ LUB MNIEJ. A WSZYSTKO ZALEŻY OD... ŻOŁĘDZIA. NASI ROZMÓWCY O KLESZCZACH WIEDZĄ WSZYSTKO!

Z naukowcami: Michałem Bogdziewiczem i Joanną Zajkowską rozmawia Adam Nowiński

— **Panie doktorze, co ma żołądź do kleszcza?**

Doktor Michał Bogdziewicz z Zakładu Zoologii Systematycznej na Wydziale Biologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu:

— Ma, i to sporo. Najpierw warto zaznaczyć, że wielkość opadu żołądźci drastycznie zmienia się pomiędzy latami. W uproszczeniu można powiedzieć, że dęby produkują nasiona raz na kilka lat. Jednak jak już to robią, to z przytupem. Taki impuls zasobów powoduje dość duże zamieszanie w lesie. Jednym z efektów jest właśnie silne zwiększenie się liczebności populacji myszy. Dzięki nieograniczonemu dostępowi do pokarmu świetnie sobie radzą, silnie się rozmnażają i rok po wysypie żołądźci w lesie jest kilkakrotnie więcej gryzoni. Kilka lat temu w Bieszczadach po roku nasiennym gryzonie dosłownie biegały nam po stopach w czasie wędrówek.

— **No dobrze, ale co mają wspólnego myszy z wysypem kleszczy?**

— Już tłumaczę. Wysyp myszy wpływa na populację kleszczy w taki sam sposób, jak nasiona na myszy. Gryzonie są świetnym gospodarzem, którego łatwo w takim czasie odnaleźć. Dlatego rok po wspomnianym wysypie myszy (a dwa lata po wysypie żołądźci) możemy się spodziewać większej liczebności kleszczy. Warto też zaznaczyć, że myszy są rezerwuarem borelioz. Oznacza to, że są „skuteczne” w przekazywaniu bakterii kleszczom. Mamy więc nie tylko dużo kleszczy, ale też dużo zainfekowanych kleszczy.

— **Czyli kleszcze nie rodzą się zainfekowane?**

— Tak, w znakomitej większości przypadków samica składa jaja i nie przekazuje krętka potomstwu. Kleszcze nabywają bakterię później, w czasie posiłków na kręgowcach, np. gryzoniach czy kopytnych. Dlatego zmiany w liczebności gryzoni mają tak silny wpływ na ryzyko zachorowania na boreliozę. W latach, gdy gryzoni jest dużo, jest większa szansa, że kleszczowy posiłek odbędzie się na myszy — jest ją po prostu łatwiej znaleźć. Posiłek na myszy częściej kończy się przekazaniem bakterii niż w przypadku innych zwierząt.

— **Czyli pana praca naukowa polega właśnie na wykazaniu związku pomiędzy ilością żołądźci w lasach a liczbą kleszczy?**

— Oparłem się między innymi na pracach Richarda Ostfelda z USA. Tam takie badania uczeni prowadzili od lat osiemdziesiątych. Gdy pierwszy raz przeczytałem te prace, bardzo chciałem się dowiedzieć, czy takie zależności wykazano też dla naszego rejonu świata. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że do tej pory nigdzie tego nie sprawdzano! Wraz z dr. Jakubem Szymkowiakiem (UAM) postanowiliśmy to sprawdzić na już dostępnych danych. Wyśleliśmy prośby do różnych instytucji, m.in. Lasów Państwowych czy Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, z prośbą o udostępnienie odpowiednich danych. Następnie użyliśmy kilku prostych metod statystycznych, by sprawdzić, czy liczba zgłoszeń boreliozy w Polsce zmienia się w zależności od wielkości zbioru żołądźci. Wyniki pokazały, że w Polsce częściej diagnozuje się boreliozę dwa lata po roku nasiennym dębów. Sprawdzaliśmy też, czy podobne trendy można zauważyć w Google. Tutaj założenie było takie, że im więcej osób „tapie”

kleszcza, tym większa będzie liczba zapytań w wyszukiwarkach z użyciem słowa „kleszcz” i „borelioza”. Ta analiza dała takie same wyniki — dwa lata po dużym opadzie żołądźci Polacy częściej szukają w Google informacji o kleszczach. Natomiast liczba tych wyszukiwań jest pozytywnie skorelowana z liczbą odnotowanych przypadków boreliozy w danym roku.

— **Jakie są prognozy na ten rok? Czy dwa lata wcześniej było więcej żołądźci niż zwykle?**

— W 2015 roku nie było spektakularnego opadu żołądźci, więc wysoka liczba przypadków, o których słyszy się w tym roku w mediach, nie jest raczej związana ze zjawiskiem, o którym rozmawiamy. Trzeba pamiętać, że na to, co się dzieje, wpływa cały szereg czynników, m.in. pogoda.

— **Pogoda?**

— Tak, dość ciepła zima, którą mamy za sobą, może spowodować, że sezon 2017 będzie obarczony dużym ryzykiem. Natomiast myślę, że gdybyśmy mieli w 2015 roku dużo żołądźci i do tego jeszcze słabe zimy, to ryzyko byłoby jeszcze wyższe. Aktualnie rozpoczynamy badania tego typu zależności. Chcemy się dowiedzieć, w jaki sposób na liczbę przypadków boreliozy w Polsce wpływa zmienność w opadzie nasion drzew z uwzględnieniem zmienności pogodowej. Które czynniki są najważniejsze? Jakimi pomiarami pozwolą na najlepsze prognozy? W jaki sposób ocieplenie klimatu wpłynie na boreliozę w Polsce? Mam nadzieję, że do końca roku poznamy odpowiedzi.

— **Jak pan prognozuje? Czy za rok będziemy mieli wysyp kleszczy?**

— Raczej tak, bo w 2016 roku było sporo żołądźci i myślę, że spowoduje to zwiększone ryzyko w 2018.

— **Ostatnio w mediach pojawiły się informacje o kleszczu zwanym obrzeżkiem gołębiem...**

Prof. dr hab. n. med. Joanna Zajkowska z Kliniki Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku: — To szczególny rodzaj kleszczy, tzw. miękkich, żerujących na gołębiach. Może znajdować się w pobliżu dachów, na starych strychach i gdy nie ma ptaków, może atakować człowieka. Nie wiemy o przenoszeniu przez ten rodzaj kleszczy chorób, ale samo pokłucie ma działanie silnie alergizujące.

— **Skoro ten gatunek atakuje przede wszystkim gołębie, skąd więc jego zainteresowanie człowiekiem?**

— Może nie człowiekiem jako gatunkiem ludzkim, ale możliwością porwania krwi, która umożliwia przeżycie. One atakują przy braku innych żywicieli. Jak się nie ma, co się lubi... (Śmiech)

— **No tak, a jak z nimi walczyć?**

— Prosto: sprzątać strychy, usuwać stare ptasie gniazda czy to ze strychów, czy te znajdujące się w pobliżu okien.

— **Jakiego jeszcze gatunku występującego w Polsce możemy się obawiać?**

— Człowiek powinien się obawiać *Ixodes ricinus*, to ten najpopularniejszy i rzadziej atakujący człowieka. Najczęściej jego ofiarą padają jednak panie, szczególnie z długimi włosami. Ten gatunek beztętnie kieruje się w kierunku owłosionej głowy. Teraz jeszcze dominuje *Dermacentor reticulatus*. Jest większy i rozpoczyna żerowanie wcześniej, pierwszy budzi się po zimowej pauzie.

Doktor Michał Bogdziewicz z Zakładu Zoologii Systematycznej na Wydziale Biologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu Fot. archiwum prywatne



— **Gdzie najczęściej możemy być narażeni na atak kleszcza?**

Tam, gdzie znajdują się zwierzęta i ptaki. Kleszcz nie jest wybredny, żeruje na około 200 gatunkach i bezbłędnie czatuje wzdłuż miejsc ich przemieszczania się: wzdłuż ścieżek, na skraju lasu, gdyż tam ma największą szansę spotkać swego żywiciela i pozwolić mu się „zgarnąć”.

— **Na jakiej wysokości najczęściej przebywają i atakują?**

— Do 1,5 metra, najczęściej tam, gdzie mogą się wspiąć po żdźbłach trawy i gałązkach lub tam, gdzie pozostawił poprzedni żywiciel. Młode formy przebywają częściej do wysokości traw, starsze — krzewów, ale nie wyżej niż przebiegające największe zwierzęta.

— **Skąd kleszcz wie, że się zbliżamy?**

— Kleszcze uzbrojone są w narządy zmysłu umieszczone na przednich odnóżach, tzw. narząd Hallera. Czatując na żdźbłach trawy, ustawiają te odnóże do góry tak, żeby wyczuć drgania, ciepło, dwutlenek węgla i to, czym pachnie zbliżający się ciepły kształt, który może dać posiłek niezbędny do przetrwania.

— **Które miejsce do ataku na nasze ciało upodobały sobie kleszcze?**

— Kleszcz atakuje trochę inaczej niż komar. Pozwala się zgarnąć przechodzącemu zwierzęciu czy człowiekowi i zaczyna wędrować: po sierści, ubraniu, tak żeby znaleźć miejsce, gdzie skóra jest cienka i wilgotna, z płytko położonymi naczyniami. U człowieka jest to na granicy włosów na karku lub okolicy pachy, pachwiny, brzucha lub na fałdach skórnych.

— **Czy są miejsca względnie bezpieczne, w które możemy zabrać na spacer w plenerze naszego psa?**

— Najlepiej tam, gdzie teren zielony jest poprzecinany licznymi ścieżkami, bardziej rozfragmentowany, gdzie trudniej przemieszczać się zwierzętom, a tym samym mniej będzie kleszczy.

— **Czy kleszcz, zgodnie z obiegową wiedzą, może przeskoczyć ze zwierzęcia na człowieka?**

— Z tym skakaniem to on ma kłopoty, raczej sobie drecze (śmiech). Jeśli nie udało mu się wkuć w skórę domowego pupila, to głośząc czy siedząc w pobliżu zwierzęcia, możemy zachęcić go do siebie i wtedy wybierze nas.

— **Czy istnieją jakieś środki chemiczne, które skutecznie mogą nas ochronić przed jego atakiem?**

— Środki kleszczobójcze stosowane są u zwierząt. Człowiek może wykozystać tzw. repelenty, czyli substancje, które ogłuszają zmysły kleszcza i stajemy się dla niego nieapetyczni.

— **A jeśli już zasmakuje w nas? Jeśli już się wkuje? Próbować walczyć z nim samemu czy oddać się w ręce lekarza?**

— Można sobie dać radę samemu, chyba że jest to miejsce dla nas trudno dostępne, wtedy potrzebna jest pomoc innej osoby.

— **A jeśli wybierzemy opcję samodzielnego usunięcia kleszcza, to jak się do tego zabrać?**

— Po pierwsze zdezynfekować skórę. Jest na niej dużo bakterii, poza tym kleszcze też nie są jałowe. Kleszcz wkuwa tylko część aparatu gębowego służącego do pobierania krwi. Wbrew obiegowym opiniom, nie wkuwa głowy zrośniętej z tułowiem ani odnóży. Wyciąga się go prostym ruchem bez obracania można wykorzystać pęsetę, tak, żeby nie zmiażdżyć kleszcza, naciętą kartą płatniczą albo zrobić pętelkę z nici i wyciągnąć go do góry. Na koniec należy wszystko zdezynfekować. Można też użyć specjalnego sprzętu do wyciągania kleszczy oferowanego w aptekach.

— **Niektórzy uważają, że należy go „utopić” w alkoholu, czy to prawda?**

— O nie! Nie można go topić ani smarować niczym, ponieważ jeśli utrudnimy mu oddychanie i podrażnimy go, kleszcz może zwrócić do wytworzonej ranki nadmiar pobranych płynów wraz z patogenami, które się w nim znajdują.

— **Niektórzy uważają, że kwestia kleszczy staje się bardziej problemem psychologicznym...**

— Zmiany środowiskowe otaczające nas sprzyjają atakom kleszczy i, niestety, jest obiektywnie więcej zachorowań na choroby odkleszczowe. Ale wiemy też, jak je rozpoznawać i radzić sobie z nimi. Borelioza, wbrew powszechnym opiniom, wdzięcznie się leczy antybiotykami, a przeciwko kleszczowemu zapaleniu mózgu powstała bardzo dobra szczepionka, dzięki której regularnie szczepieni leśnicy przestali chorować. \\\

Prof. dr hab. n. med. Joanna Zajkowska z Kliniki Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku

Fot. archiwum prywatne

IMPREZY BIZNESOWE

Zajazd Eden w Napierkach k.Mławy (województwo Warmińsko-mazurskie)
usytuowany blisko drogi S7 pomiędzy Warszawą a Gdańskiem
organizuje spotkania biznesowe
połączone z wieloma atrakcjami rozrywkowymi

Zapewniamy smaczne jedzenie, dodatkowo stół szwedzki,
markowe napoje alkoholowe, napoje chłodzące, kawę, herbatę i ciasta.
Wszystko bez ograniczeń.

W trakcie trwania imprezy umilać czas będą tańczące striptizerki,
non stop dobra muzyka, przy której można się będzie zabawić i zrelaksować.

Czas trwania takiego miłego spotkania od godz. 20:00 do 6:00.
Cena od jednej osoby — 2.000 zł.

Wystawiamy faktury VAT dla firm i osób indywidualnych
prowadzących działalność gospodarczą.

Zapewniamy nocleg w XIV wiecznym hotelu na Zamku w Nidzicy
oraz dowóz i powrót. Następnego dnia zapewniamy obiad i miłe
niespodzianki. Niepowtarzalny klimat stworzony w Edenie,
będzie radością życia i da chęć do pracy.

Rezerwacja imprez okolicznościowych — tel. 785 766 060,
e-mail: stachurskiryszard42@gmail.com
Impreza dla co najmniej 20 osób. Zapraszamy



Zajazd Eden
Ryszard Stachurski
Napierki 1
13-111 Janowiec Kościelny





PRUSKI ROMANS MARII I MAŁEGO CESARZA

\\ GDY NAPOLEON W 1807 ROKU PRZYBYŁ ZE SWOJĄ ARMIĄ DO PRUS WSCHODNICH, CZEKAŁY GO NIE TYLKO KOLEJNE WIELKIE ZWYCIĘSTWA. TO TU, DOKŁADNIEJ RZECZ BIORĄC W KAMIEŃCU, CESARZ PRZEŻYŁ NAJGORĘTSZE MIŁOSNE UNIESIENIA Z MARIĄ WALEWSKĄ.

Napoleon stoczył w Prusach Wschodnich kilka bitew. Bój z 7-8 lutego 1807 roku pod Pruską Itawą (dzisiaj Bagrationowsk) z połączonymi siłami rosyjsko-pruskimi był trudny i krwawy. Po bitwie żołnierze wołali „Vive la paix!”, „Niech żyje pokój!”, a nie jak zazwyczaj „Niech żyje cesarz!”. 14 czerwca cesarz osobiście dowodził wojskiem pod Frydlandem (dzisiaj to Prawdinsk), gdzie Rosjanie zostali pobici. 7 lipca 1807 Napoleon i car Aleksander I spotkali się na tratwie na Niemnie w Tyłży, gdzie podpisali traktat pokojowy. Dzięki niemu m.in. powstało Księstwo Warszawskie.

— Napoleon w 1805 roku pobił Austrię, a podczas kampanii 1807 roku Rosję i Prusy — mówi prof. Tomasz Strzeżek, historyk z UWM. — Przed tymi kampaniami strefa wpływów francuskich kończyła się na Renie. Po zwycięskich wojnach z 1805 i 1807 roku granica wpływów francuskich stanęła na Niemnie. To była całkowita zmiana sił w Europie. I wtedy Prusy Wschodnie stały się centrum polityki europejskiej. Drugi raz taka sytuacja powtórzyła się w czasie II wojny światowej, kiedy Hitler w swej kwaterze pod Kętrzyńnem podejmował decyzje dotyczące losów Europy i świata.

Na wojennym szlaku Napoleona przez Prusy Wschodnie znalazły się m.in.: Wielbark, Pasym, Olsztyn, Gutkowo, Jonkowo, Włodowo, Lubomino, Miłakowo i Ostróda. Na dłużej zatrzymał się w pałacu rodu Finckstein w dzisiejszym Kamieńcu.

Napoleonowi towarzyszyła Maria Walewska, 21-letnia polska arystokratka, którą cesarz poznał w styczniu w Warszawie. Jego oddany kamerdyner

Constant napisał w swych dziennikach, że była blondynką o niebieskich oczach i cerze niezwyklej białości.

— Pałac Finckenstein był jedną z najwspanialszych rezydencji w Prusach Wschodnich — opowiada Małgorzata Jackiewicz-Garniec, historyczka sztuki, współautorka książek o pałacach i zamkach regionu. — Zbudowano go w I połowie XVIII wieku w stylu francuskiego baroku. Pałac otaczał wspaniały ogród w stylu francuskim, gdzie ustawiono cenne rzeźby. Rezydencję nazywano wschodniopruskim Wersalem, a sam Napoleon na jej widok miał powiedzieć „enfin chateau”, czyli „nareszcie pałac”.

Do budowy Finckensteinu użyto wielu szlachetnych materiałów, w tym carraryjskiego marmuru (Carrara, miasto we Włoszech — red.). Pokoje były obite jedwabiem lub kurdybanem, ogrzewały je kominki i fajansowe piece. Na ścianach wisiały portrety pruskich królów i członków rodu. Zdobiły je też poroża i trofea myśliwskie. Najbardziej imponująca była tzw. sala brązowa, obita dębową boazerią. Tutaj podczas podróży po Prusach zatrzymywali się królowie.

W 1937 roku Amerykanie nakręcili film „The Conquest”. W rolach Marii i Napoleona wystąpili Greta Garbo i Charles Boyer Fot. Wikipedia



Napoleon miał do swej dyspozycji m.in. pokój śniadaniowy, sypialnię i gabinet. Nie spał jednak w łóżu z baldachimem, ale na połowym łóżku, jednym z kilku, które ze sobą woził.

Romans z Marią Walewską jest owiany legendą. Miał też swój wymiar patriotyczno-polityczny. Podobno Maria w chwili miłosnych uniesień miała wypowiadać słowa: — A Polska, sire?

— To sprawa skomplikowana — tłumaczy prof. Strzeżek. — Po latach Maria Walewska sama kreowała historię swoimi pamiętnikami.

Maria urodziła 4 kwietnia 1810 roku cesarzowi Francuzów syna Aleksandra. Chłopiec został hrabią, a Maria po rozwodzie z Anastazym Walewskim przyjechała do Paryża, gdzie zamieszkała w podarowanym jej pałacyku.

— Aleksander Colonna-Walewski zrobił karierę we Francji — dodaje prof. Strzeżek. — Był ministrem spraw zagranicznych za Napoleona III.

Podobno dzięki matemu Aleksandrowi Napoleon uwierzył, że może mieć dzieci i że to nie on jest bezpłodny, ale jego ówczesna żona Józefina. Rozwiódł się z nią i poślubił Marię Ludwikę, austriacką arcyksiężniczkę, która w 1811 roku urodziła mu syna Napoleona. Książę Reichstagu, nazywany też Orlątkiem, zmarł w wieku 21 lat i nigdy nie został władcą.

Maria Walewska wyszła za mąż za Filipa-Antoniego d'Ornano, któremu urodziła syna. Jednak więź, jaka łączyła ją z cesarzem, nie została całkiem zerwana. Pani Walewska odwiedziła Napoleona na Elbie, gdzie przebywał na wygnaniu. Spotkali się też w Europie, podczas 100 dni, kiedy cesarz próbował odzyskać władzę. Po klęsce pod Waterloo został zesłany na wyspę św. Heleny, gdzie zmarł w 1821 roku. Maria odeszła cztery lata wcześniej. Miała zaledwie 31 lat.

Czy jednak to, że kochankowie spotykali się później, i to wielokrotnie, nie świadczy o tym, że związek nie był miłością? — Zależy, kto o tym pisze — odpowiada Tomasz Strzeżek. — Są tacy, którzy twierdzą, że Maria uczepiła się Napoleona jak rzep. Dr Andrzej Nieuważny z kolei podkreśla, że Napoleon był Marią zafascynowany. Cesarz pisał o tym w listach do swych braci. Są też opinie, że Marię podsunęto Napoleonowi na życzenie Talleyranda, ministra spraw zagranicznych, który chciał mieć wpływ na cesarza. Taki wpływ, przez Marię, chciał mieć też ks. Józef Poniatowski.

Ale Napoleon myślał przede wszystkim o sprawach politycznych i woj- skowych, a kobiety w swoim życiu traktował jako przerywniki. Jednak

Walewska była tym istotnym „przerywnikiem”, choć Napoleon był Polsce niechętny. Zrażało go jej cywilizacyjne zacofanie...

Przypomnijmy popularne w tamtej epoce zdanie: *La Pologne est un pays marecegeux ou habitent les Juifs* (Polska to kraj bagnisty, gdzie mieszkają Żydzi).

Na temat romansu Napoleona i Marii Amerykanie w 1937 roku nakręcili film „*The Conquest*” (polski tytuł „*Pani Walewska*”). Podstawą scenariusza była powieść Wacława Gąsiorowskiego z 1904 roku. W roli kochanków wystąpili Greta Garbo i francuski amant Charles Boyer. Za tę rolę został nominowany do Oscara, podobnie jak William Horning i Cedric Gibbons za scenografię.

Gdzie był kręcony film? — Carl E. L. von Lorch w książce „*Landschloesser und Gutshoesser in Ost- und Westpreussen*” wydanej we Frankfurcie w 1972 roku powołuje się na hrabiego Alfreda zu Dohna, ostatniego właściciela Kamieńca — opowiada Jackiewicz-Garniec. — Zu Dohna napisał, że Napoleon mieszkał w pałacu Finckenstein od 1 kwietnia do 6 czerwca 1807 roku. Już drugiego dnia przybyła tu Maria Walewska, niedawno poznana w Warszawie. Para miała tu swój szczęśliwy epizod. Maria mieszkała w komnacie obok, wieczorami przechadzali się po parku...

Zdaniem von Lorch wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer nakręciła film „*Pani Walewska*” z pięknymi zdjęciami architektury Kamieńca. — Tak też uważał dr Nieuważny — mówi prof. Strzeżek.

Jednak w Wikipedii można przeczytać, że sceny odbywające się w pałacu zostały nakręcone w starannie przygotowanych dekoracjach.

Maria i Napoleon byli bohaterami polskiej produkcji zatytułowanej „*Marysia i Napoleon*”. Film wyreżyserował Leonard Buczkowski, a role tytułowe zagrali Beata Tyszkiewicz i Gustaw Holoubek. Prawdziwy pałac, który przetrwał kampanię napoleońską i I wojnę światową, został zniszczony 22 stycznia 1945 roku. Dzisiaj jest własnością prywatną i kompletną ruiną. O jego świetności przypominają cztery rzeźby z attyki kamienieckiego pałacu, znajdujące się w parku w Iławie. Są to Jowisz, Junona, Herkules i Wenera.

EWA MAZGAL \\\

Pałac w Kamieńcu, stan obecny Fot. Wikipedia



Bank jako partner w sukcesji...

Planowanie przekazania władzy i majątku to nie fanaberie przedsiębiorcy, lecz jeden z kluczowych procesów, który w przyszłości pozwoli firmie przetrwać i rozwijać się.

Rozważania wokół sukcesji można prowadzić wielowątkowo. Planowanie sukcesji to np. konieczność odpowiedzi na pytanie o długoterminowy cel i sens prowadzenia biznesu. Można spojrzeć na sukcesję pod kątem promocji różnorodności – tutaj wyrażonej przez zaproszenie młodego pokolenia do zarządzania firmą dla otwarcia jej na nowe potrzeby rynku, nowe technologie. Planowanie sukcesji to też część procesu zarządzania zmianą, jak również: zarządzania ryzykiem.

Działalność gospodarcza wiąże się nierozdzielnie z podejmowaniem ryzyka. Przy czym większość rodzajów ryzyka gospodarczego można ograniczyć, a nawet wyeliminować – trzeba tylko mieć ich świadomość i umieć odpowiednio wcześniej nimi zarządzić. Tymczasem polscy przedsiębiorcy rzadko poważnie traktują ryzyko zagrażające firmie w sytuacji, gdy właściciel nie będzie mógł jej prowadzić. Dotyczy to zarówno niemiłych sytuacji losowych, jak i takich, w których następuje przekazanie biznesu nieprzygotowanym sukcesorom. Oba te scenariusze mogą doprowadzić firmę do utraty pozycji rynkowej, a rodziny, w których dochód z biznesu stanowi główne źródło utrzymania, do poważnych problemów finansowych.

W każdym przypadku zaplanowanie i skuteczne wdrożenie w życie planu sukcesji może nie tylko uratować firmę, ale także wzmocnić jej pozycję na rynku.

KONTRAHENCI POWINNI ZNAĆ PLAN SUKESJI

Niejednokrotnie kluczowym czynnikiem decydującym o sukcesie rynkowym, szczególnie w biznesach o mniejszej skali, jest właściciel i zarazem zarządzający firmą. W praktyce prowadzenie biznesu opiera się na osobistych relacjach pomiędzy uczestnikami życia gospodarczego, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz przedsiębiorstwa. Często to właściciel, prowadząc biznes przez wiele lat, zjednuje sobie kluczowych pracowników oraz kontrahentów – i dlatego tak ważne jest wzbudzenie w nich przekonania, że jego następcy również będą godni zaufania. Szczególnie ważne jest przekonanie banków – jednych z najważniejszych partnerów biznesowych większości firm.

Podajmy prosty przykład: nie ulega wątpliwości, że banki, udzielając finansowania, biorą pod uwagę czynniki związane z osobą właściciela zarządzającego biznesem. Odzwierciedleniem takiego postępowania jest m.in. wprowadzenie do umów kredytowych tzw. klauzul *change of control*. Zapisy takie oznaczają, że utrzymanie w mocy finansowania firmy przy zmianie jej udziałowca wymaga uprzedniej zgody banku na tę zmianę. Bank najprawdopodobniej wyrazi zgodę na tę zmianę, gdy nowym właścicielem będzie oferujący dodatkowe zabezpieczenia fundusz *private equity* czy korporacyjny inwestor branżowy, ale w przypadku nieznanego następcy z rodziny bank może mieć wątpliwości. I wtedy pojawiają się problemy. Jest jednak jasne,

że bank tym chętniej udzieli zgody, im lepiej pozna przyszłych sukcesorów oraz nabierze pewności, że będą kontynuować biznes, zapewniając spłatę zaciągniętych zobowiązań.

BANK JAKO DORADCA

Bank nie musi być jednak postrzegany wyłącznie jako jeden z kontrahentów, z którym firmy powinny ułożyć stosunki w procesie sukcesji. Wzoruując się na doświadczeniach zdobytych na dojrzałych rynkach, niektóre banki wspierają przedsiębiorców w tym procesie. W Banku BGŻ BNP Paribas tę rolę pełnią specjaliści od planowania majątku oferujący wsparcie

zamożnym klientom w ramach oferty bankowości prywatnej. Najważniejszymi atutami tej usługi jest gruntowne wykształcenie naszych specjalistów, wzbogacone wieloletnią praktyką i międzynarodowym doświadczeniem Grupy BNP Paribas. Darmowy charakter usługi gwarantuje zaś jej obiektywizm.

Jedną z ważnych kompetencji Bankowości Prywatnej BGŻ BNP Paribas jest m.in. wsparcie w planowaniu majątkowym mające na celu adekwatne wynagrodzenie wszystkich uprawnionych członków rodziny. Bardzo często mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której tylko część potencjalnych następców jest zainteresowana prowadzeniem rodzinnego biznesu. Za życia obecnego właściciela darowizna udziałów tylko jednemu dziecku nie rodzi automatycznie istotnych skutków prawnych w stosunku do pozostałych, sytuacja jednak przedstawia się inaczej po jego śmierci. W wielu krajach, w tym w Polsce, pominięci spadkobiercy ustawowi mogą np. domagać się zachowku płaconego przez następcę, który otrzymał firmę. W przypadku, gdy przekazany majątek biznesowy stanowi zdecydowaną większość dziedziczonych aktywów, jego spadkobierca może mieć problem z wypłatą należnej sumy. W skrajnych sytuacjach będzie nawet zmuszony do podziału otrzy-

many udziałów – co w rezultacie może prowadzić do ich rozdrobnienia, paraliżu decyzyjnego, przejęcia kontroli przez udziałowców mniejszościowych, sprzedaży całości lub części biznesu.

Zadaniem specjalistów od planowania majątku jest właśnie zarówno uświadomienie tego problemu klientom, jak i proponowanie takich rozwiązań, aby wszyscy spadkobiercy ustawowi otrzymali należną im część majątku. Specjaliści w ramach bankowości prywatnej pomagają też w okresowym przeglądzie wybranych wariantów sukcesji oraz tworzeniu i obsłudze bardziej skomplikowanych form zarządzania majątkiem, takich jak fundacje rodzinne czy trusty.

Zakres i jakość tych działań dowodzą, że wkrótce polskie banki – tak jak banki w Europie Zachodniej – będą postrzegane przez przedsiębiorców jako ważny partner w procesie sukcesji.



W ZMIENIAJĄCYM SIĘ ŚWIECIE
SUKCES TO WSPÓLNA
DROGA POKOLEŃ

ZARZĄDZANIE MAJĄTKIEM

Profesjonalnie zajmujemy się wszystkimi sprawami związanymi z Twoim majątkiem, abyś Ty mógł poświęcić się temu, co najważniejsze – pielęgnowaniu wartości rodzinnych. Twój majątek ma swoją historię. Razem zaplanujmy jego przyszłość.



BGŻ BNP PARIBAS
PRIVATE BANKING

Bank
zmieniającego się
świata

Bank BGŻ BNP Paribas Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Warszawie przy ul. Kasprzaka 15/17, 01-033 Warszawa, zarejestrowany w Sądzie Rejonowym dla M. St. w Warszawie, KRS 0000000000, NIP 1425-10-00-04, REGON 142510004, z siedzibą w Warszawie.

ZNAM PANIE, KTÓRE JADĄ GDZIEŚ GRUPOWO, ŻEBY PRZEŻYĆ ROMANS

\\ CZY WARTO SIĘ WDAWAĆ W WAKACYJNE ROMANSE? UWAŻA, ŻE JEŚLI JUŻ DO NICH DOJDZIE, TO ZAWSZE POWINNY SIĘ WIAZAĆ Z REFLEKSJĄ: DLACZEGO DO TEGO DOSZŁO? CZEGO BRAKUJE MI W MOIM ZWIĄZKU?

Ze Zbigniewem Lwem-Starowiczem, seksuologiem, rozmawia Karolina Śluz. Fot. Beata Szymańska

— **Panie profesorze, jakie są trendy w seksie na lato 2017?**

— W seksie nie mówimy trendach, a o cyklach związanych z porami roku. Inny jest seks w czasie jesienno-zimowym, a inny w letnio-urlopowym.

— **Co wyróżnia ten — jak to pan powiedział — czas letnio-urlopowy?**

— Wakacje w sposób naturalny sprzyjają zbliżeniom. To czas rozrywki, długich rozmów, bycia ze sobą. Jest więcej możliwości, pokus.

Jest też czas na to, żeby odłączyć się od internetu. Zredukować liczbę rozmów przez komórki. Bo to bardzo zakłóca relację.

Proszę sobie wyobrazić, że jest pani na wczasach, a partner ciągle prowadzi rozmowy przez telefon. Jedną, kolejną. I w zasadzie nie wiadomo, z kim spędza czas.

To bardzo ważne, żeby oddalić się od tych wszystkich służbowych spraw i mieć czas na bezpośrednią rozmowę.

— **A co z wakacyjnymi, przygodnymi relacjami? Mogą dawać satysfakcję czy prowadzą tylko do frustracji?**

— W skrócie rzecz ujmując, są trzy typy romansów wczasowych. Mamy romans świadomy, zamierzony. O takim romansie mówimy wtedy, kiedy ktoś jedzie na wczasy po to, żeby mieć romans.

Znam panie, które jadą gdzieś grupowo, żeby go przeżyć. Tego typu oczekiwanie można łatwo wyczuć, bo strony wysyłają sobie bardzo dużo sygnałów.

— **To jeden typ romansów wakacyjnych. A pozostałe?**

— Drugi typ to romans przypadkowy. Siedzę obok kogoś na plaży i zaczyna się rozmowa. Pojawia się zainteresowanie, które nie było planowane. Po prostu do tego doszło.

Tego typu romans może być początkiem nowego związku albo może przeżyciem, które po wakacjach się kończy.

Jeżeli osoby romansujące są w stałych związkach, to pojawia się dylemat: powiedzieć czy nie powiedzieć?

— **Jak pan uważa?**

— Jeżeli ktoś się przyznaje, bo chce zrzucić z siebie ciężar poczucia winy i być lojalny, to dodatkowo rani drugą osobę. Romans tego typu powinien zawsze wiązać się z refleksją: dlaczego do tego doszło? Czego brakuje mi w moim związku?

— **No to jeszcze trzeci typ romansów.**

— Jest wtedy, kiedy poznajemy osobę dla nas niezwykle atrakcyjną, ciekawą. Jeżeli osoby romansujące mieszkają dość blisko siebie, to po wakacjach zazwyczaj podtrzymują ten romans. Jest to romans prowadzący do klasycznego trójkąta.

— **Z punktu widzenia seksuologa: wdawać się w takie romanse czy nie? Czy w dłuższej perspektywie wychodzi nam to na dobre?**

— Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Jeżeli kobieta nigdy nie miała orgazmu, a podczas romansu okazuje się, że wcale nie jest lepiej, to w ten sposób dowiaduje się czegoś o sobie. Może pomyśleć, że

wina jest w niej. Ma okazję do refleksji o tym, że trzeba byłoby poszukać jakiegoś rozwiązania.

Inna sytuacja. Kiedy romans daje nam nowe, dotychczas nieznane doświadczenie. Ogromną satysfakcję, tzw. trzęsienie ziemi, po którym wraca się do związku, do codzienności.

I przykład trzeci. To są osoby tzw. seksowne. One z natury są chętne do romansowania. Romansu, przygody nie traktują jako czegoś, co ma uderzyć w związek. Ma to dla nich wyłącznie kontekst seksualny, pozwala się wyżyć.

— **Czyli wakacyjny romans raczej tak?**

— Nie mogę dawać takiej zgody. To jest kwestia systemów wartości. Należy też mieć na uwadze takie konsekwencje jak choroby weneryczne oraz zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Często w swojej praktyce spotykam się z przypadkami gwałtów czy innymi nadużyciami, które są skutkiem wakacyjnej beztroski. Trzeba pamiętać, że nie wszyscy działają czysto.

— **Coraz częściej słyszymy też o seksturystyce. To już chyba jakaś moda. Czy pan to także widzi w swoim gabinecie?**

— Oczywiście. Mam pacjentki, które dzięki seksturystyce mają relacje, z którymi dotychczas się nie spotykały. Po raz pierwszy w życiu słyszą... komplementy na swój temat. I tak jak są przewodnikami po miastach czy po kuchniach danego kraju, tak są i przewodnikami

po lokalnych zwyczajach.

— **Seksualnych?**

— Tak. I takie przewodniki po Tajlandii czy po krajach arabskich opisują lokalne zachowania.

Dzięki temu wiemy, co się może przydarzyć. Że w tej wspomnianej Tajlandii już na lotnisku można znaleźć towarzyszkę na wakacje. Albo że Senegal to miejsce zamieszkiwane przez mężczyzn, którzy są hojnie obdarzeni przez naturę.

— **Kogo pociągają takie wakacyjne atrakcje?**

— Podatność wynika z tego, z czym jedziemy. Jeżeli kobieta dawno nie była adorowana, to może nagle doznać olśnienia, że taki wyjazd jest dla niej. Podobnie jest z mężczyzną. Jeżeli jest zaniedbywany, a tutaj nagle inna kobieta wychodzi ze skóry, żeby starać się o jego względy.

— **Z jakimi problemami najczęściej przychodzą dziś Polacy do seksuologa? I czy te problemy zmieniają się na przestrzeni czasu?**

— I tak, i nie. U mężczyzn od lat najczęstszymi problemami są dewiacje oraz zaburzenia erekcji.

U kobiet są to spadek zainteresowania seksem, bolesne kontakty seksualne czy brak orgazmu.

Zmieniają się przyczyny tych problemów. Populacja się starzeje, żyjemy coraz dłużej. Mamy różne choroby, bierzemy leki. Z nadciśnieniem czy



Osoby tzw. seksowne romansu, przygody nie traktują jako czegoś, co ma uderzyć w związek. Ma to dla nich wyłącznie kontekst seksualny, pozwala się wyżyć.



Mam pacjentki, które dzięki seksturystyce miewają relacje, z którymi się nie spotykały. Niektóre po raz pierwszy w życiu słyszą... komplementy na swój temat.

cukrzycą można brać leki i funkcjonować dobrze przez wiele lat, ale to się z kolei odbija na seksie.

Mamy też nowe grupy pacjentów: seniorów czy młodych bezrobotnych.

— **Brak pracy wpływa na seks?**

— Kiedy młody mężczyzna nie ma pracy, nietrudno jest o stany depresyjne. Ma małe poczucie własnej wartości. Wtedy pojawiają się zaburzenia seksualne. Bywają też odwrotne sytuacje. Mam na myśli seks ludzi sukcesu w biznesie.

— **Oni raczej nie mają niskiego poczucia własnej wartości.**

— Mają dużo stresu i potrzebę odreagowania go. To też skłania do przygodnych, seksualnych zachowań, z których wynikają potem kłopoty w stałych związkach. Tu pojawia się kolejna kwestia. Rośnie populacja uzależniona od seksu. Tego wcześniej na taką skalę nie było.

— **Co jeszcze nowego słychać w seksuologii?**

— Bardzo dużo. Cały czas są prowadzone badania nad mózgiem. Coraz bardziej poznajemy umysłowe uwarunkowania seksualności. Mamy bardzo duże zmiany w podejściu do zaburzeń seksualnych. Pojawiają się nowe metody leczenia, nie tylko farmakologiczne.

Nowością jest rehabilitacja mięśni dna miednicy. Ma to ogromne znaczenie w jakości życia seksualnego kobiet. Także nie nudzimy się.

— **A czy w antykoncepcji widać jakieś zmiany na horyzoncie? Tak, żeby cała odpowiedzialność nie spoczywała tylko na kobiecie?**

— W rodzajach antykoncepcji zmiany następują wolniej. Natomiast coraz bardziej zwraca się uwagę na wpływ tabletek na seksualność kobiet. W mediach kobiety słyszą: bierzesz tabletki, masz mniejszą ochotę na seks, weź suplement, to ci się poprawi. To tak nie działa. Antykoncepcję trzeba indywidualnie dobierać do kobiety.

— **A co, jeśli ciało chce, ale ciało nie może? Czy pan i pana koledzy po fachu potraficie pomóc w każdym przypadku?**

— W tej chwili mamy ogromny postęp w seksuologii medycznej. Dysponujemy tak dużymi możliwościami diagnostycznymi, że 95 proc. przypadków zaburzeń erekcji jest obecnie do wyleczenia.

Gdy jest problem, lepiej skorzystać z pomocy specjalisty, niż zadowalać się suplementami. Mamy teraz dwustu seksuologów w Polsce, więc z dostępem nie jest źle. Oczywiście w dużej mierze jest to leczenie prywatne, ale są już miejsca, gdzie wizyta u seksuologa jest refundowana. 

Zbigniew Lew-Starowicz

Jeden z najstojniejszych polskich psychiatrów; jego specjalnością jest leczenie zaburzeń seksualnych.

Urodził się w 1943 roku w Sieradzu. W 1966 roku ukończył Wydział Lekarski Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. W 1995 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Prezes Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego oraz Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej. Kierownik Zakładu Seksuologii Medycznej i Psychoterapii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Szpitalu im. Orłowskiego w Warszawie.

Od 1994 roku pełni funkcję konsultanta krajowego z zakresu seksuologii. Kierownik naukowy i wykładowca na kursach specjalizacyjnych dla lekarzy z seksuologii i psychiatrii w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego.

Jest autorem i współautorem kilkuset publikacji z zakresu seksuologii (m. in. „Seks partnerski”, „Seks dojrzały”, „Seks nietypowy”, „Encyklopedia erotyki”, „Edukacja seksualna”, „On i ona o seksie”) i psychiatrii oraz kilku tysięcy artykułów popularnonaukowych.





BROWARIADA

FESTIWAL *Piwny* 19-20.08.2017

OSTRÓDA, EXPO MAZURY

WYSTĄPIĄ:



LEVER



MAXEL



MEJK

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.EXPOBILETY.PL

— WWW.BROWARIADA.PL —

MIASTO Z PRZESZŁOŚCIĄ,

Kraina Nieodkrytych Tajemnic

Morąg



Morąg:

- ★ Ratusz gotycki
- ★ Armaty z wojny francusko-pruskiej
- ★ Zamek krzyżacki
- ★ Kościół gotycki
- ★ Muzeum w Pałacu Dohnów
- ★ Mury obronne
- ★ Wieże ciśnień
- ★ Izba Pamięci Historycznej
- ★ Galeria Sztuki
- ★ Pomnik Jana Pawła II
- ★ Kirkut
- ★ Pływalnia, sauny, siłownia
- ★ Siłownie zewnętrzne
- ★ Stadion miejski
- ★ Boiska sportowe, place zabaw
- ★ Lodowisko "Biały Orlik"
- ★ Świetlice
- ★ Park miejski, amfiteatr, fontanna
- ★ Użytek Ekologiczny "Rozlewisko Morąskie"
- ★ Miejski Szlak Turystyczny
- ★ Szlaki Rowerowe
- ★ Kino 3D
- ★ Dom Kultury
- ★ Biblioteka Publiczna
- ★ Szkoły, przedszkola
- ★ Informacja Turystyczna
- ★ Kluby sportowe, Stowarzyszenia
- ★ Imprezy kulturalne, sportowe i rekreacyjne wystawy czasowe
- ★ Jeziora - przystań żeglarska plaże, pomosty
- ★ Bogactwo przyrody



Morąg, malownicze 690-letnie miasto, położone w północnej części Polski, pomiędzy Olsztynem a Elblągiem. Jego bogactwo historyczne przedstawiają liczne zabytki architektury, pochodzące często z okresu średniowiecza.

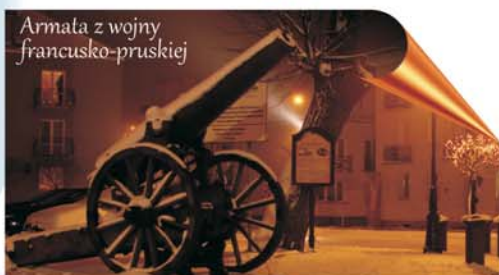
Morąg położony jest w regionie wysoce atrakcyjnym przyrodniczo i turystycznie. Uroki tego miejsca przyciągają ludzi z różnych stron świata zachęcając swoją historią, pięknymi zabytkami oraz ciekawymi, aktywnymi pomysłami na spędzenie wolnego czasu. Atrakcyjne położenie wśród lasów, łąk i pięknych jezior sprawia, że jest to miejsce idealne do wypoczynku.

Morąg, raj dla żeglarzy i turystów!

Na terenie Gminy Morąg znajduje się aż jedenaście jezior. Niewątpliwie najatrakcyjniejszym z nich jest **jezioro Narie**. Jest to jedno z najpiękniejszych polskich jezior o bardzo urozmaiconej linii brzegowej oraz licznych zatokach, półwyspach i wyspach. Powierzchnia jeziora liczy 1240 ha, a maksymalna głębokość wynosi 44 metry. Na jeziorze znajduje się 19 wysp, których łączna powierzchnia wynosi około 25,9 ha. Jezioro jest idealne do żeglowania, nurkowania i uprawiania innych sportów wodnych. Usytuowane nad jeziorem Narie ogólnodostępne kompleksy wypoczynkowe sprzyjają rozwojowi turystyki rodzinnej, obozom młodzieżowym, koloniom, pobytom weekendowym i świątecznym.

Rozwinięta infrastruktura zapewnia wysoki standard zamieszkania i wypoczynku. Uzupełnieniem walorów turystycznych naszej Gminy są imprezy kulturalne, rozrywkowe i sportowe, a dbałość o rozwój Gminy i podnoszenie standardu życia jej mieszkańców i turystów przejawia się w szczególności w realizowanych licznych inwestycjach. Największa z nich to budowa pływalni z basenami /sportowy, rekreacyjny, zewnętrzny/, siłowniami /wewnętrzne i zewnętrzne/, saunami /fińskie i parowa/, zjeżdżalnią, jacuzzi i solarium. W Kretowinach przywita Was piękne centrum turystyczne i nowe moło, w Bogaczewie plaża i przystań żeglarska, w mieście pływalnia, park miejski, muzea, Kino 3D, Informacja Turystyczna, zabytki, stadion sportowy...

Zamieszkać, zainwestuj, wypocznij - zapraszamy!



Urząd Miejski w Morągu
ul.11 Listopada 9, 14-300 Morąg
tel. +48 89 757 22 31, www.morag.pl
www.facebook.com/gmina.morag

**KALENDARZ WYDARZEŃ
GMINY MORĄG**
www.morag.pl



Informacja Turystyczna
Plac Jana Pawła II 1, 14-300 Morąg
tel./fax. + 48 89 757 38 26
lot.morag@op.pl, www.lot.mazury.pl





JEGO NAZWISKO WCIĄŻ SIEDZIAŁO W GŁOWACH LUDZI Z WŁODOWA

WŁAŚNIE UKAZAŁA SIĘ NAUKOWA KSIĄŻKA NA TEMAT WYDARZEŃ WE WŁODOWIE. TO NIE TYLKO DOKŁADNY OPIS WYDARZEŃ, ALE TAKŻE WNIOSKI, JAKIE TRZEBA BY WYCIĄGNĄĆ NA PRZYSZŁOŚĆ. POJECHALIŚMY Z KSIĄŻKĄ DO MIESZKAŃCÓW WŁODOWA I OKOLIC, KTÓRZY BYLI ŚWIADKAMI SAMOSĄDU. Fot. Kamil Forys



Dzisiaj we Włodowie i okolicach drzwi domów pootwierane są na oścież, furtki też. Ludzie chodzą swobodnie, bez nerwów i rozglądania się na boki. Psy, jeśli już biegają, to malutkie, co to najwyżej chwycą za nogawkę. Na ten spokój ludzie czekali długo. Na początku myśleli, że Ciechanek jest niezniszczalny. Że jeszcze jakiś numer im wywinie. Że jednak wstanie z grobu i znowu zacznie ich terroryzować.

— Myślałam, że jak kot, ma z siedem żyć. Niby wiedziałam, że już nie żyje i jesteśmy bezpieczni, ale coś we mnie wciąż nie dowierzało — mówi Elżbieta z pobliskiego Brzydowa, najbliższa sąsiadka zmarłego recydywisty. — Jego nazwisko wciąż chodziło ludziom po plecach.

Józef Ciechanowicz, znany jako Ciechanek, nie żyje od prawie dwunastu lat. 1 lipca 2005 roku dorwali go mieszkańcy Włodowa i zabili szpadlami.



Coś się zmieniło. Inaczej na mnie patrzą w urzędach, gdy raz pojechałam na komisariat to też mnie przyjęli, jak być powinno. A, pani W., słucham, w czym mogę pomóc?

Trzech braci W. zostało za to skazanych na cztery lata więzienia. Ułaskawił ich prezydent.

Bracia W. z rodzinami do dzisiaj tutaj mieszkają. — Przyjdą, drewna narąbią jak potrzeba. Zawsze pomogą. Złoci chłopcy — mówi jedna z mieszkanki Włodowa. Ona sama wydarzenia sprzed dwunastu lat pamięta tylko z telewizji i gazet, a później z opowieści mieszkańców. Sama wprowadziła się tutaj już na gotowe, jak była cisza i spokój.

O ten spokój ludzie walczyli długo. Jak Ciechanek groził im siekierą, albo długim na trzydzieści centymetrów tasakiem, wołali policję. Ta przyjeżdżała albo nie.

— Pamiętam, mąż pracował wtedy w Warszawie. Patrzę przez okno, a Ciechanek idzie przez podwórko wypity. On jak był trzeźwy, to w ogóle z domu nie wychodził. Ale jak wypił, to nie daj Boże. A pił codziennie. Drzwi zamknęłam i poleciałam dzwonić na policję, bo już mi wygrażał. Przyjechali, a on ich klepie po ramieniu. Bracia moi, mówi do nich. Oni do niego, że zamknij mordę i wsiadaj do radiowozu — opowiada Elżbieta. — No i zabrali go niby. Ja patrzę, a on po paru minutach wraca. I triumfuje. Wypuścili go jeszcze przed Świętkami.

Tego strasznego dnia też policja nie pomogła. Ciechanek przyszedł do Włodowa na podwórko Tomasza i Marleny W. Jak zawsze, z nożem i siekierą. Bluzgał coś i wyzywał. Tomasz stanął w drzwiach domu.

W tym czasie nadeszła Jagoda, córka byłej konkubiny. Jak ją Ciechanek zobaczył, wypalił: co ta k... a tutaj robi? Miał do Jagody żal, że matkę od niego zabrała, bo nie mógł już zabierać jej renty. Tomasz wygnał go wtedy z podwórka. Ale po chwili Ciechanek wrócił. Wygrażał tasakiem. Tomasz chwycił grubą, metrowy kij ze sterty drewna. I poszli na siebie: Ciechanek na Tomasza z tasakiem, ten na niego z łagą. Uznał, że dosyć bania się o siebie, o swoje rodziny i trzeba zrobić z tym porządek.

Ciechanek zaczął się cofać, ale ciągle celował tasakiem w Tomasza. Trafili w głowę, gdyby Tomasz nie zastonił się ręką. Na ratunek ruszył mu sąsiad. Jego żona wezwała w tym czasie policję. Ale dyżurny powiedział, że radiowozu nie wyśle, bo nie ma. Józef Ciechanowicz uciekł, a małżeństwo W. wsiadło w samochód i pojechali do Dobrego Miasta na pogotowie i komisariat. Nic nie wskórali. Usłyszeli tylko, że jak to, cała wieś nie da rady jednemu mężczyźnie?

Kiedy wrócili, zebrała się u nich cała wieś. Wszyscy bali się Ciechanka. Kiedy zobaczyli, że znowu na nich idzie i bluzga, puścili im nerwy. Zwłaszcza że pokrzykiwał, że bachory też powybijają, a w tym czasie na podwórku bawił się czterolatek Marleny i Tomasza.

Mężczyźni chwycili kije ze sterty i ruszyli na Ciechanka. Dorwali go po krótkim pościgu w pobliskim wąwozie. Sąd uznał później, że to trzech bracia W. go zabili szpadlami. Później do ciała podchodzili wycieczki. Jakby upewnić się, że nie żyje naprawdę.

— I ja z kolegą za to patrzeć trzy miesiące przesiedziałem — mówi dzisiaj Stanisław, mąż Elżbiety, który mieszkał w tym samym domu, co Ciechanek. — Żona do dzisiaj ma o to pretensję.

— Bo po co żeś tam polazł? — irytuje się Ela. Przez dwanaście lat akurat tego nie może mu darować.

— A jak do ciebie w młodości chodziłem, to było dobrze? — żartuje Stanisław.

Dzisiaj mogą już z tego pożartować. Ale wtedy nikomu nie było do śmiechu. W okolicznych wioskach ludzie zrobili zrzutkę na najlepszego adwokata dla trzech braci. Wyliczali sobie tyle, żeby wystarczyło na chleb do renty, resztę oddawali na mecenasa. W braciach W. widzieli bohaterów.

— Dzisiaj już tak nie myślimy. To po prostu normalni, fajni, pomocni sąsiedzi — mówi jedna z kobiet z Włodowa.

— Żyjemy tu wszyscy w zgodzie. Nikt się z nikim nie awanturuje. Widzi pani sama, cisza, spokój, drzwi pootwierane — dodaje mężczyzna, którego spotkaliśmy przy sklepie.

Marlena, żona Tomasza W.: — O tej sprawie nikt tu już nie mówi. Wszyscy normalnie pracujemy, ciężko, najczęściej w lesie. Tomek i jego bracia też pracują. Chociaż coś się zmieniło. Inaczej na mnie patrzą w urzędach. Musiałam raz pojechać na komisariat zgłosić przestępstwo, to też mnie tak przyjęli, jak być powinno. A, pani W., słucham, w czym mogę pomóc? — dopytywał policjant.

Elżbieta dodaje, że i dzieci mogą w końcu po podwórku biegać. Nie tak jak kiedyś, kiedy rodzice trzymali je w domach, bo w każdej chwili mógł nadejść Ciechanowicz. I tylko, na wspomnienie tamtych lat, dreszcze przechodzą.

Właśnie ukazała się książka „Samosąd we Włodowie. Studium przypadku” na temat tych wydarzeń. Napisał ją dr hab. Piotr Chlebowicz, kryminolog z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Nawet on jest zaskoczony tym, że przed nim żaden inny naukowiec nie pochylił się nad tym tematem.

— Gdyby to się wydarzyło w Niemczech czy we Francji, już dawno powstawałyby książki

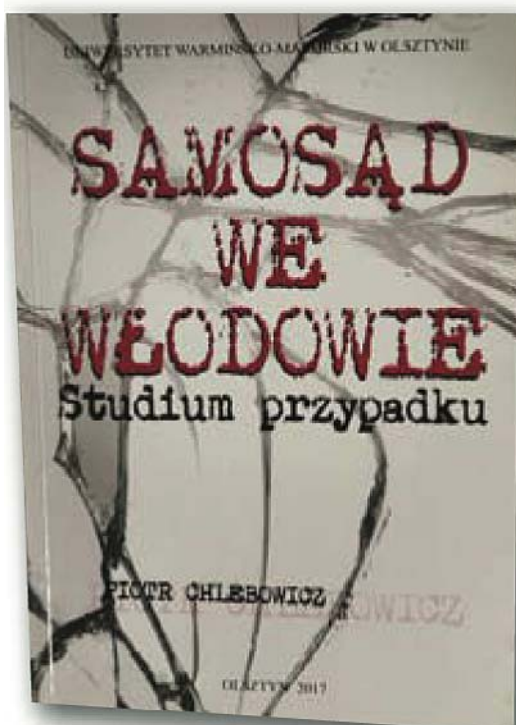
i rozprawy naukowe. U nas jakoś nie było zainteresowania — mówi Piotr Chlebowicz. Prawnik dwa ostatnie lata pracował nad książką. Był w więzieniu w Kamińsku, w którym ostatnio siedział Ciechanek. Kilka miesięcy czytał akta sądowe w archiwum.

— Od początku fascynowały mnie, z prawniczego punktu widzenia, wydarzenia we Włodowie. Kiedy to się działo, odbywałem aplikację w Prokuraturze Rejonowej Olsztyn-Północ, która zajmowała się tą sprawą. Do dzisiaj świetnie pamiętam atmosferę, jaka panowała wtedy w prokuraturze. Podenerwowanie, bo nie od razu było jasne, co tam się właściwie wydarzyło i kto za to odpowiada. Zajmowałem najniższe w hierarchii stanowisko i nie miałem dostępu do akt, ale postanowiłem, że kiedyś się tym zajmę — mówi dr hab. Piotr Chlebowicz. Książkę wydał Wydział Prawa i Administracji UWM. Nie można jej kupić. Mieszkańcy Włodowa i Brzydowa, z którymi rozmawialiśmy, bardzo chcieliby ją przeczytać. Na razie jednak będą po nią mogli sięgnąć tylko w bibliotekach. Ma także posłużyć studentom, którzy będą chcieli zgłębić temat.

— W „Chłopach” jest scena samosądu mieszkańców wsi Lipce na Jagnie. Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Inne są oczywiście motywy i inne problemy, ale reakcja wsi jako społeczności jest podobna tak w Lipcach, jak i we Włodowie — mówi naukowiec. I dodaje: — Policja w tamtym czasie była przeciążona. Nie miała ani sprzętu, ani ludzi. Nie mieli kim łątać tych dziur. Trzeba ją usprawniać nieustająco i w ten sposób zapobiegać takim wydarzeniom w przyszłości.

Barbara i Stanisław, a także Marlena W., mówią dzisiaj jednym głosem i stanowczo: — Gdybyśmy teraz byli świadkami przestępstwa, siedzielibyśmy cicho. Po tym, co przez te wszystkie lata przeszliśmy, wolimy udawać, że nic nie widzimy.

MAŁGORZATA KUNDZICZ \\\



Sprawą linczu we Włodowie interesowała się cała Polska, zajmowali się nią politycy. Na podstawie tych wydarzeń powstał film. Trzech mieszkańców Włodowa zostało skazanych na cztery lata więzienia za zabicie Józefa Ciechanowicza 1 lipca 2005 roku. Zostali ułaskawieni przez prezydenta.

SUKCES FIRMY BUDUJĄ LUDZIE

W biznesie trzeba być uczciwym, każda droga na skróty prowadzi donikąd. Prędzej czy później, a raczej prędzej klienci odwrócą się plecami i firma zniknie z rynku – mówi Marian Obuchowicz, współwłaściciel firmy GOM w Dywitach.



Pierwszy nowy samochód kupił sobie dopiero 17 lat temu. To był volkswagen passat. Nie do zdercia, zresztą do tej pory jeździ nim jeden z jego pracowników. Dlaczego nie poszedł do salonu, nie kupił jakiegoś nowego auta. Wiele biznes znacząca od nowego samochodu i garnituru.

— Ale nie ja — uśmiecha się Marian Obuchowicz. — Wolę zainwestować w firmę, w nowe automaty, w nowoczesny park maszynowy. Jakoś nie lubię trwonić pieniędzy na zbytki, tak już mam, tak mnie wychowali rodzice.

Razem z bratem Grzegorzem są współwłaścicielami firmy GOM w Dywitach, która 19 lat temu wyrosła przy drodze krajowej 51, tuż za rogatkami Olsztyna. To wielka hurtownia płyt wiórowych i akcesoriów meblowych.

Co kryje się za tymi trzema literami, za tą tajemniczą nazwą GOM?

— Grzegorz, Obuchowicz, Marian — rozszyfrowuje skrót biznesmen.

Mówi, że czasami na hasło GOM Dywity w internecie pojawia się Gminny Ośrodek Maszynowy w Dywitach. Był taki. A wie, bo jest z Dywit, a dwa, że jego ojciec kiedyś pracował w GOM. Był tam mechanikiem.

Hurtownia nie jest dziełem przypadku.

— Zawsze chodziło mi coś takiego głowie — zdradza Marian Obuchowicz. — Zaczynaliśmy w trudnym

okresie, branża przeżywała kryzys. Niektórzy dawali nam rok, że tyle wytrzymamy. I chyba ich zaskoczyliśmy, bo jesteśmy już 19 lat na rynku, rozwijamy się.

Co się liczy w biznesie, pieniądze? — Uczciwość, bo w biznesie nie da się iść na skróty, prędzej czy później, a raczej wcześniej klienci odwrócą się plecami i firma zniknie z rynku — nie ma co do tego wątpliwości Marian Obuchowicz. — I oczywiście odrobina szczęścia w biznesie też się przyda — dodaje.

Tworzyli GOM z myślą o hurtowni płyt wiórowych i akcesoriów meblowych. Kiedy zaczęli w październiku 1998 roku, w ofercie mieli głównie płyty meblowe i 300 metrów kwadratowych powierzchni handlowej. Dziś aż trudno uwierzyć w te skromne początki. Firma rozrosła się, powierzchnia handlowa wzrosła do 4 tys. metrów, a na parkingu przed siedzibą stoi długi sznur aut.

— To głównie auta naszych pracowników, rzeczywiście przez te wszystkie lata trochę urosliśmy — przyznaje Marian Obuchowicz.

W kolejnych latach rozszerzali swoją ofertę, w sprzedaży pojawiły się blaty kuchenne i akcesoria meblowe. Dziś przed siedzibą spółki powiewają flagi z logo firmy Pfleiderer, znanej na całym świecie niemieckiej firmy, która swą nazwę wzięła od nazwiska założyciela. Obecnie Grupa Pfleiderer jest wiodącym europejskim producentem wyrobów

drewnopochodnych, osiągającym roczne obroty na poziomie ok. 1 miliarda euro i zatrudniającym blisko 3 500 pracowników. Firma ma główną siedzibę we Wrocławiu oraz w Neumarkt w Niemczech. Pfleiderer posiada dziewięć zakładów produkcyjnych w Niemczech i w Polsce.

Jednym słowem, to potentat na europejskim i światowym rynku produkcji materiałów drewnopochodnych dla branży meblarskiej i budowlanej. W 1999 roku GOM został hurtownią partnerską Pfleiderera. I to był punkt zwrotny, który pozwolił dywickiej spółce rozwinąć skrzydła.

— Jesteśmy jedną z 29 hurtowni partnerskich Pfleiderera — mówi Marian Obuchowicz. — Dzięki temu mamy w ofercie pełną gamę produktów całej Grupy Pfleiderera, oczywiście w konkurencyjnych cenach — dodaje.

W swojej ofercie GOM ma produkty najlepszych światowych producentów oraz polskich firm. Mają płyty firmy Pfleiderer, elementy wykończeniowe Rehau czy akcesoria meblowe firm Blum, GTV, Sevrall. Wydawałoby się, że płyta to płyta, blat to blat, ale patrząc na ofertę GOM, mnogość płyt, ich szeroką paletę kolorów, to naprawdę ciężko się zdecydować, co kupić. I bez dobrej rady nie obejdzie się.

— W tym roku trendy jest choćby róż i jego wszystkie odcienie — podpowiada Marian Obuchowicz. —

W tej branży, jak w każdej, zmienia się styl, wzornictwo, kolorystyka. Na szczęście jednak design nie zmienia się tak szybko, jak w świecie mody. GOM stawia na profesjonalną obsługę. Pracownicy z wieloletnim doświadczeniem zawsze służą pomocą. W razie pytań związanych z płytami meblowymi, akcesoriami meblowymi lub produkcją mebli zawsze doradzą, pomogą. A dzięki flocie samochodów firmowych, przystosowanych do przewozu płyt meblowych tak, aby nie ul. gły one uszkodzeniu w czasie transportu, towar z hurtowni dociera do klienta szybko i na czas.

Dzisiaj GOM to już nie jest tylko duża hurtownia. Teraz ponad połowę obrotów firmy stanowi już produkcja.

— Świadczymy pełny zakres usług związanych z obróbką płyt meblowych. Jest to przede wszystkim przycinanie na automatach CNC oraz zautomatyzowane okleinowanie krawędzi płyt — mówi współwłaściciel GOM.

Warto też podkreślić, że GOM to firma rodzinna i to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

— 80 proc. naszej załogi to rodzina — podkreśla przedsiębiorca. — Krewni, kuzyni, ich kuzyni. Jesteśmy jak wielka rodzina.

Wielu pracowników pracuje w firmie od początku.

— Kokosów może nie mają, ale myślę, że też nie mogą narzekać, bo zdajemy sobie sprawę, że z tego, co zarobią, muszą utrzymać siebie i swoje rodziny — dodaje przedsiębiorca.

Firma dba o ludzi, o ich bezpieczeństwo. Odpukać w niemalowane, ale przez te wszystkie lata nie mieli w pracy żadnego wypadku. — Najważniejsi są ludzie, to pracownicy budują firmę, stoją za jej sukcesem — podkreśla współwłaściciel GOM.

Dlatego tak ceni sobie spotkania z załogą, wspólne wyjazdy integracyjne, bo to buduje atmosferę, wspólne relacje.

Nigdy nie zazdrości innym. To trochę na przekór naszej polskiej mentalności, bo jak powiedział jeden z polskich reżyserów, Polska to taki dziwny kraj, gdzie wszyscy cieszą się, jak komuś coś nie wyszło.

— Dlaczego mam zazdrościć? — uśmiecha się Marian Obuchowicz. — Wręcz przeciwnie, cieszę się, jak inni osiągają sukcesy, szczególnie w mojej branży, bo dzięki temu sukces innych jest moim sukcesem. To znaczy, że branża się rozwija i my też możemy zyskać nowych klientów. I coś jeszcze, myślę, że zamiast zazdrościć, trzeba docenić wysiłek, upór ludzi, bo sukces nie bierze się znikąd, a z ciężkiej codziennej pracy.

ZABIŁ, BO CHCIAŁ ZOSTAĆ TAKSÓWKARZEM

||| TAKSÓWKARZA Z OLSZTYNA ZDZISŁAW K. NAMÓWIŁ NA NOCNY KURS DO GDAŃSKA. W KIEZMARKU OGŁUSZYŁ GO METALOWĄ RURKĄ, CIAŁO OBCIĄŻYŁ WORKIEM Z KAMIENIAMI I UTOPIŁ W WIŚLE. ZOSTAŁ ZA TO SKAZANY NA ŚMIERĆ, EGZEKUCJA ODBYŁA SIĘ W ROKU 1984.

Zdzisław K. po rozwodzie z żoną i zwolnieniu z PKS w Szczytnie myślał zostać taksówkarzem. Miał kilkuletniego passata, na którego zarobił, pracując w Niemczech. W czerwcu 1982 roku zdał już wymagany egzamin i zdobył koncesję taxi. Kupił sobie nawet taksometr, ale taksówkarzem nigdy nie został.

Kłopoty zaczęły się, gdy w volkswagenie zatarł się silnik. Oddał auto do znajomego warsztatu pod Warszawą, ale tam jakoś nie radzili sobie z naprawą. Roboty nie było, niemieckie marki szybko się rozeszły. Wtedy niedosły taksówkarz wymyślił, że wejdzie do fachu kosztem innego taksówkarza. Sąd Najwyższy, skazując Zdzisława K. na karę śmierci, podkreślił, że: „Zbrodnia dokonana przez oskarżonego była wcześniej obmyślona, zaplanowana i zrealizowana bez jakichkolwiek moralnych hamulców.”

Sam Zdzisław K. tłumaczył się, że chodziło mu tylko o zdobycie samochodu. Realizując swój zbrodniczy plan, 4 grudnia 1982 roku Zdzisław K. przyjechał autobusem ze Szczytna do Olsztyna. Miał ze sobą dwie torby. W jednej były ubrania, w drugiej metalowa rurka, linki, butelka z rozpuszczalnikiem, a także formularze kupna-sprzedaży samochodu. Przez dłuższy czas kręcił się po dworcu, dopiero po godzinie 22 wyszedł na postój taxi, zamawiając kurs do Morąga. Taksówkarz Henryk Eryk H. (seledynowy fiat 125p numer boczny 107) właściwie kończył dniówkę. Chciał być nawet wcześniej w domu, bo młodszy syn przyjeżdżał z wojska na przepustkę.

Na swoje nieszczęście dał się jednak namówić. Po drodze toczyła się jakaś rozmowa o niczym, pasażer jakby nawet przysypiał. Kiedy w Morągu taksówka podjechała pod wskazany adres, Zdzisław K. wszedł do bloku, ale po minucie wyszedł, mówiąc, że rodzina, do której jechał, właśnie wyjechała do Gdańska. Czy więc taksówkarz...

Zapowiadała się jazda na całą noc, ale Henryk H. jeszcze raz się zgodził.

Jechali przez Matdyty, Dzierzgoń, Malbork. Nic się nie działo do momentu, kiedy przed samym mostem w Kieźmarku, siedzący na tylnej kanapie Zdzisław K. nagle kazał skręcić w boczną dróżkę ku Wiśle.

„Coś pan, zgłupiał?”, zdziwił się kierowca, zatrzymując samochód. Zaraz potem dostał gazrurką w głowę i bez czucia osunął się w prawo na siedzenie pasażera. Zdzisław K. nie sprawdził, czy żyje. Wciągnął go z auta, przetrząsnął kieszenie, a potem powłócił kilkanaście metrów w kierunku wiatu. Wyciągniętą z torby linką skrępował ofiarę. W bagażniku fiata znalazł worek, do środka włożył dwa duże kamienie, przywiązał to wszystko do rąk nieszczęśnika, a potem zepchnął ciało do rzeki.

Sekcja zwłok wykazała potem, że przyczyną śmierci Henryka H. było utopienie, w tamtym momencie był więc tylko nieprzytomny.

Zbrodniarz starał się działać metodycznie. Wycierał niewielkie ślady krwi na oparciu przedniego siedzenia. Gumowy dywanik pod nogi, kurtkę kierowcy, blaszane pudełko na pieniądze, także znak taxi wyrzucił do Wisły. Kiedy już ruszył w kierunku Gdańska, przypomniał sobie o leżącej ciągle za siedzeniem rurce, którą zaatakował taksówkarza. Zatrzymał się i z mostu cisnął ją do rzeki.

Dalsze „porządki” Zdzisław K. robił już w Gdańsku. W schowku pod tablicą rozdzielczą znalazł dokumenty kierowcy i samochodu, wyrzucił wszystko, co było w bagażniku. Używając przygotowanego rozpuszczalnika zmył też numer boczny taksówki. Samochód zamierzał sprzedać na giełdzie w Gdyni, a za zarobione na nim pieniądze, kupić inny, czysty. Nerwy robiły jednak swoje. Widząc wielu milicjantów kręcących się przy giełdzie — w końcu był grzesznikiem 1982 roku, w PRL ciągle obowiązywał stan wojenny — nie odważył się wyjechać na plac. W jakiejś bramie spreparował na wszelki wypadek akt

kupna-sprzedaży fiata, ale żadna okazja się nie nastręczyła. Zostawił więc samochód pod jakimś blokiem i na noc wrócił do Szczytna.

Następnego dnia znów był w Gdyni, niepokoił go bowiem oryginalny, olsztyński numer rejestracyjny taksówki. Wpadł na pomysł, że zgłosi kradzież tablic rejestracyjnych w wydziale komunikacji i dostanie zastępcze blachy. Wydebił je, ale na dowód swojego zepsutego passata.

Cały plan zaczął się jednak sypać. Po pierwsze, fiat nie chciał odpalić. Po drugie, jakaś kobieta stojąc w oknie zauważyła go, jak przykręca numery rejestracyjne i sądząc pewnie, że to złodziej, w poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności, zadzwoniła na komendę. Kiedy po kolejnym kursie do Szczytna i z powrotem, Zdzisław K. ponownie pojawił się w Gdyni, auta już nie było, bo zostało odstawione na strzeżony milicyjny parking.

O zaginięciu Henryka H. jego żona — sprawdzwszy wcześniej wszystkie możliwe adresy — zawiadomiła na drugi czy trzeci dzień. 9 grudnia komunikat ze zdjęciem poszukiwanego taksówkarza ukazał się w „Gazecie Olsztyńskiej”. Jakiś radiesteta wskazał, że Henryk H. nie żyje i leży gdzieś w lesie koło Kalnika pod Morągiem. Tam szukała go rodzina.

Właściwym tropem był, udający passata, seledynowy fiat w Gdyni i nazwisko Zdzisława K., jako osoby składającej wniosek o zastępcze blachy. Między Gdynią a Szczytnem zaczęły krążyć fakty próbujące wyjaśnić narzucające się wątpliwości. W tym

czasie Zdzisław K. pomyślał, że przyholuje spod Warszawy swojego, ciągle nie-naprawionego, passata. Chciał go naprawiać w firmowym serwisie (jednym z niewielu wtedy w PRL) w Trójmieście. Gdzieś pod Wielbarkiem hol się jednak zerwał, auto doznało dodatkowych uszkodzeń, a właściciel ostatecznie stracił do grata cierpliwość, wepchnął go głębiej w las i podpalił. Myślał, że może znów zgłosi kradzież. To było 13 grudnia. Dwa dni potem Zdzisław K.

został aresztowany. Nie za zabójstwo lecz za... niedopełnienie obowiązku meldunkowego, bo parę tygodni wcześniej zmienił w Szczytnie mieszkanie, a takie rzeczy w stanie wojennym należało natychmiast zgłaszać. Za brak meldunku został ukarany ekspresowo przez kolegium i na jakiś czas wyszedł jeszcze na wolność.

Na 17 grudnia 1982 roku dostał wezwanie na komendę w Gdyni „w związku z samochodem”. Próbował się migać, wieczorem telefonował z Olsztyna, pytając, co ma robić, bo zaspał w pociągu i nie zdąży. Usłyszał, żeby się już nie fatygować, że sprawę może załatwić na miejscu w Olsztynie. 19 grudnia, aresztowany na dobre, usłyszał zarzuty. Na razie tylko przywłaszczania samochodu, choć śledczy wiedzieli już o śladach krwi w fiacie i wszystko wskazywało, że doszło do zabójstwa.

Zdzisław K. wił się jak mógł. Przyznawał nawet, że miał w Gdyni styczność z seledynowym fiatem i jego kierowcą, ale wyjaśniał, że on był tam swoim passatem i to z niego skradziono mu tablice. Płatał się do momentu, kiedy pod Wielbarkiem odkryto wypalony wrak samochodu, jego passata. 23 grudnia Zdzisław K. przyznał się do zabójstwa taksówkarza. Od razu wskazał miejsce zbrodni. W Wigilię ciało Henryka H. wydobyte zostało z Wisły.

Proces Zdzisława K. przed Sądem Wojewódzkim w Olsztynie toczył się w styczniu 1984. I na sądowej sali, i przed budynkiem demonstrowali taksówkarze, domagając się kary śmierci dla zabójcy kolegi. Wyrokiem z 19 stycznia 1984 roku Zdzisław K. został przez olsztyński sąd skazany na 25 lat więzienia, lecz po apelacji prokuratury Sąd Najwyższy zmienił ten wyrok, orzekając wobec zabójcy karę śmierci. To była ostatnia wykonana kara śmierci w naszym regionie, choć sama egzekucja odbyła się prawdopodobnie w Gdyni.

STANISŁAW BRZOSOWSKI |||

TWOJE MIEJSCE – TWÓJ CZAS



HIGHLANDER
WHISKY BAR

Szkocję od Olsztyna dzieli parę tysięcy kilometrów... Jednym słowem jest daleko. Jeśli w tym momencie ta odległość jest dla Ciebie nie do pokonania, mamy równie ciekawą alternatywę – odwiedź Highlander Whisky Bar – nie wyjdiesz zawiedziony.

Wyspiarski klimat czuć już na samym wejściu do mieszczącego się na Starym Mieście lokalu. Celtyckie wzory na ścianach, czerwone obicia przytulnych kanap, ciężkie zasłony w oknach i ciepłe żółte światło delikatnie świecących lamp dają wrażenie, jakbyśmy już znaleźli się na ziemiach walecznego Bravehearta. Wśród skalistych skał i huczącego wiatru to właśnie takie miejsca przyciągały swoim ciepłem i niesamowitą atmosferą, dawały schronienie strudzonym żeglarzom. Zwłaszcza że zawsze można było się tam porządnie napić i najeść. Nie inaczej jest w olsztyńskim lokalu. Z poziomu parteru wchodzimy do Highlandu. Najbardziej znanego i największego regionu Szkocji - krainy dumnych i odważnych górali, z których pochodził William Wallace. To na podstawie jego losów Mel Gibson nakręcił swój kultowy film. Ta część lokalu ma charakter bardziej pubowy. W tle słysząc spokojną muzykę. Nie trzeba się przekrzykiwać. Drugiego takiego w Olsztynie nie ma.

Zawodowi barmani przygotowują też wszelkiej maści koktajle. Gdy już posiedzimy na górze, czas udać się na dół. Elegancką windą zjeżdżamy do Lowlands - kolejnej (i jak sama nazwa i lokalizacja wskazuje) nizinnej krainy pochmurnej i wietrznej Szkocji. Tam w przytulnych rozległych przestrzeniach warto usiąść i zjeść. Nawet potwór z Loch Ness nie byłby rozczarowany.



Menu obfituje w naprawdę wyszukane potrawy - w karcie znajdziemy m.in. kotleciki z baraniną lub flaki po szkocku podawane uwaga! - w kuflu. Serwowane są też ryby... tradycyjne fish and chips to

zawsze dobra alternatywa dla dzieci, a grillowany stek z łososiem zadowoli podniebienia nawet najbardziej wybrednych smakoszy.



– Kolejnym naszym specjałem są ciekawie skomponowane burgery i sałaty - wszystko świeże i od lokalnych dostawców - rekomenduje właściciel. I zaznacza: - Nie jesteśmy szybką kuchnią, gdzie wpada się na moment, żeby cokolwiek zjeść. U nas na jedzenie trzeba poczekać, ponieważ przygotowujemy wszystko od podstaw. To daje gwarancję najwyższej jakości. Ale w tych ścianach czekanie to chyba żaden problem? - wskazuje na przepięknie wykończone wnętrze.

Z poziomu rozległego Lowland, którego klimat i przestrzeń doceniane są przez organizatorów zamkniętych imprez (poziom posiada też własny przeszklony VIP room) możemy wyjść na tyły restauracji, skąd rozpościera się wspaniały widok na zamek. Szkocja posiada jeszcze kolejną krainę geograficzną w postaci Wyżyny Południowej.

– Może gdzieś tu znajdzie się i dla niej miejsce? – zastanawia się właściciel.



Highlander Whisky Bar
Olsztyn, Stare Miasto 29/32
pn.-pt. 11.00-00.00
sob.-nd. 12.00-00.00



PIRAMIDA W RAPIE KRYJE W SOBIE WIELE TAJEMNIC

\\ PIRAMIDA W RAPIE NIE PRZESTAJE ZASKAKIWAĆ. ZESPÓŁ ARCHEOLOGÓW Z UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO NA POŚWIĘCONEJ JEJ WYSTAWIE POINFORMOWAŁ, ŻE POD OBIEKTEM KRYJE SIĘ BYĆ MOŻE POMIESZCZENIE. ILE TAJEMNIC KRYJE JESZCZE GROBOWIEC W ŚRODKU LASU? Fot. Hubert Kowalski

Płożona 10 kilometrów od Bań Mazurskich, w środku lasu, nietypowa budowla od lat rozpala wyobraźnię nie tylko miłośników historii. Światło dzienne ujrzała kolejna z tajemnic grobowca rodziny von Fahrenheid.

Na wystawie zorganizowanej na Uniwersytecie Warszawskim zespół archeologów z Pracowni Skanerów 3D Instytutu Archeologii Laboratorium Cyfrowe Humanistyki (na czele archeolodzy Janusz Janowski i Marta Bura), który od 2015 roku bada piramidę przy użyciu najnowszych technologii, podzielił się efektami swojej pracy. Analiza wyników badań georadarowych wykazuje, że pod piramidą coś jest. Co?

— Są pewne anomalie — mówi Janusz Janowski. — Nie ma pod piramidą ciągłego gruntu. Może to fundamenty? A może zagruzowane pomieszczenie? Jako naukowiec daleki jestem od sugerowania, że to bursztynowa komnata czy złoty pociąg, ale co tam jest, dowiemy się dopiero wtedy, gdy zaczniemy badania. Wiemy, że istnieje jakiś poziom minus jeden.

Swoją teorię na ten temat ma współpracujący z zespołem dr Jerzy Marek Łapo z Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, znawca historii piramid.

— Stwierdzone anomalie pod piramidą mogą potwierdzać moją hipotezę o tym, że piramidę wzniesiono pierwotnie jako lodownię — opowiada. — Miał to być obiekt łączący funkcję gospodarczą: przechowywanie lodu, z estetyczną: ekstrawagancka budowla parkowa.

I tłumaczy: Johann von Fahrenheid (budowniczy piramidy — red.) był bardzo dobrym znajomym króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, a ten w swoim Nowym Ogrodzie w Poczdamie od 1792 roku posiadał bardzo podobną „piramidę lodową”. To ta budowla najpewniej była pierwowzorem piramidy w Rapie.

Podberlińska lodownia miała także dwa sklepienia oraz wewnątrz prostopadłościenną komorę do składowania lodu przesypanego trocinami. Fahrenheid wznosił podobną konstrukcję w swojej posiadłości, nad zamierzającym jeziorkiem, skąd miano pozyskiwać lód. Stawiam tezę, że gdy w 1795 roku zmarła jego żona, podziemną komorę zasypano, podłogę wyłożono ceglaną posadzką, na której ustawiono pierwszą trumnę. Być może śmierć Frideriki von Fahrenheid była dla męża dużym zaskoczeniem i nastąpiła zimą — „zabrakło” czasu na wzniesienie „normalnej” kaplicy grobowej. Piramida zaś, nawiązująca formą do świata zmarłych, stała się grobowcem.

Naukowcy dowiedli, że wbrew temu, co do niedawna sądzono, piramida nie powstała w 1811 roku dla Ninette, zmarłej córki Johanna von Fahrenheida. Powstała wcześniej (naniesiona jest na mapę z 1796 roku). Znane są personalia pięciu członków rodziny von Fahrenheid, których szczątki złożono w piramidzie, ale...

— Antropolog Wiesław Więckowski zidentyfikował kości co najmniej sześciu osób — dodaje dr Łapo. — „Nadmiar” może wynikać z tego, że w grobowcu pochowano także ciała osób z rodu von Fahrenheid, które zamieszkiwały Rapę po wygaśnięciu głównej gałęzi rodzinnej, co nastąpiło w 1888 roku wraz ze śmiercią Fritza von Fahrenheida.

Interesujący się starożytnym Egiptem i wolnomularstwem Johann von Fahrenheid, doradca finansowy zarządu królewskiej loży masońskiej Pod Trzema Koronami, był jednym z najbogatszych ludzi w Prusach.

— Złośliwi mawiali, że jest tak bogaty i po to tak kupuje ziemię, aby podróżując z Rapy do Królewca, cały czas jechać po swoich terenach — mówi dr Łapo. — Rzeczywistość była taka, że niemal całe pogranicze powiatów gierdawskiego i dąbrowskiego aż po okolice Rapy i Zabrostu należały do niego. Kiedy na początku wojen napoleońskich zaczęły

się kłopoty finansowe obszarnika, fiskus wyliczył, że tylko jego nieruchomości, obejmujące 25 tys. ha, warte są 1,2 mln talarów. Kosmiczne pieniądze! Żeby zorientować się co do tego, jak duża była to kwota, można podać koszty budowy średniej wielkości kościoła w Radziejach pod Węgorzewem, które wyniosły 3 tys. talarów.

W piramidzie, tak jak i w pałacu w Bejnunach (rezydencji rodowej), próżno szukać dziś śladów tego bogactwa. Gdy archeolodzy we wrześniu 2015 roku weszli do grobowca, zastali obraz nędzy i rozpaczy: uszkodzone trumny, porozrzucane kości ludzkie, cegły oderwane od sklepienia. Przez lata ten „dziwny” obiekt był dewastowany. Dochodziło do beczeszczczenia znajdujących się w grobowcu zwłok. W latach 70. XX wieku, żeby zapobiec chorobie dopadającej krowy w pobliskim pegeerze, urwano mumiom... głowy.

— Dziś piramida jest w fatalnym stanie — mówi Janusz Janowski. — Wystarczy, że wypadnie jedna cegła, a cała konstrukcja zawali się jak domek z kart.

Dlatego Nadleśnictwo Czerwony Dwór pod koniec marca wystąpiło do Ministerstwa Kultury o dofinansowanie remontu grobowca kwotą w wysokości 970 tys. zł.

— Odpowiedź od ministerstwa dostaniemy w ciągu 60 dni — precyzuje nadleśniczy Mariusz Kimszał.

Pieniądze na remont umożliwią archeologom dalsze prace, a to z kolei może pomóc rozwikłać kolejne tajemnice, które Rapa wciąż kryje.

— Nie wiemy dokładnie, jak wyglądało pierwotne zwieńczenie budowli. Czy było zamknięte, czy też ażurowe? — wylicza dr Łapo. — Jak wyglądają i w jakiej kondycji są fundamenty piramidy? Czy stoi ona na palach? Nie mamy zidentyfikowanych wszystkich szczątków ludzkich i nieprzyporządkowano im konkretnych trumien. Sądzę, że piramida w Rapie i jej „mieszkańcy” jeszcze niejedną raz nas zaskoczą.

ŁUKASZ WIELICZKO \\\



Piramida nie powstała w 1811 roku, jak sądzono, ale wcześniej. Naniesiona ją na mapę z 1796 r. Gdy 2015 r. weszli do niej archeolodzy, zastali m.in. uszkodzone trumny i porozrzucane kości ludzkie.

ŚMIERTELNA WOJNA NA ŚNIARDWACH

||| 35 LAT TEMU BRACIA SZ. WYPOWIEDZIELI PRYWATNĄ WOJNĘ KŁUSOWNIKOM NA ŚNIARDWACH. ZABIERALI IM SPRZĘT, TOPILI ŁÓDKI, AŻ W KOŃCU POŁAŁA SIĘ KREW. RYBACY MIELI PROCES O ZABÓJSTWO, OSTATECZNIE WYSZLI JEDNAK Z SĄDU Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ.

Północny brzeg Śniardw w okolicach Dziubiel, 21 września 1982 roku. Ciemno zaczęło się robić już po siódmej wieczorem, wiatr nagał spore fale. Janusz Sz. schowany w trzcinach pilnował głębinowych żaków na węgorze. Którąś noc z rzędu. Po zmierzchu miał dołączyć do niego brat bliźniak Eugeniusz Sz. Wiedzieli, że może być gorąco. Wojna z kłusownikami, którą od dawna prowadzili, pod koniec lata osiągała zawsze apogeum.

Złodzieje wybierali im ryby, cieli sieci. W żywe oczy kpili z rybaków, pokazywali im wata, kazali całować się w d... i uciekali, bo motorówki mieli zwykle szybsze. Zawodowym rybakom na Śniardwach szczególnie dawała się we znaki taka czerwona motorówka. Miała silnik z wartburga i podobno rozpędzała się do 60 kilometrów na godzinę. Ale tym razem i rybacy zabrali na noc motorówkę z silnikiem wartburga, najszybszą w całym rybnym pegeerze. Na pokładzie mieli niemiecki bagnet i pistolet sygnałowy z przerobioną, nafaszerowaną kulkami łózkowymi amunicją.

Ich przeciwnikami w czerwonej motorówce byli bracia Jan i Sławomir Cz. Tego dnia wypłynęli z Pizsa przed zmierzchem z zamiarem postawienia sznurów na węgorze. Za Czarcią Wyspą wzięli kurs prosto na Dziubele i kilkaset metrów od brzegu zastawili pułapki. Dobili do trzcin, na wszelki wypadek ustawiając łódkę dziobem do jeziora. Mieli zamiar czekać do świtu. Zwrócili oczywiście uwagę na pale zdradzające rybackie sieci. Ale woleli się upewnić.

Jan Cz. z lornetką w ręku wyszedł na skarpe, żeby zlustrować okolicę. Z ośrodka warszawskiego SPEC w Dziubielach wypłynęła wolno motorówka, przez taką szedł jakiś człowiek. „To niegroźne, widocznie jakiś wędkarz”, relacjonował bratu Jan Cz. Dobrze ukrytych rybaków nie dostrzegł. Jan Cz. wrócił na motorówkę, razem z bratem powoli zaczęli szykować się do snu, musieli poczekać do świtu. Rybacy postanowili ich zaskoczyć.

Do czerwonej motorówki skradali się trzcinami. Eugeniusz Sz. miał sygnałową, jego brat Janusz bagnet za cholewę. Styszeli rozmawiających kłusowników. Opowiadali sobie właśnie, jak poprzedniej nocy opróżnili rybackie sieci w pobliżu Popielna. — I tu możemy się jeszcze przy okazji obłować — mówili.

Rybacy, bracia bliźniacy, w wojsku służyli w czerwonych beretach, więc znali się na robocie. Starali się być cicho do samego końca, lecz kilka metrów od łódki kłusowników ich obecność zdradził szum rozgarnianych trzcin. Widząc, że zostali dostrzeżeni, Eugeniusz Sz. strzelił na postrach z raketnicy, a doskoczywszy do łódki, kolbą pistoletu wałnął w głowę Jana Cz.

W tym czasie Janusz Sz. szamotał się z próbującym odganiać się wiośłem Sławomirem Cz. Kłusownicy mieli przewagę pozycyjną, siedzieli w łódce, gdy rybacy po pas byli w wodzie, w dodatku dno w tym miejscu było bardzo grząskie. Janusz Sz. wyciągnął wtedy bagnet, dźgał kłusownika po rękach, sięgnął też wyżej.

Wszystko działo się błyskawicznie. Skończyło się tak, że Sławomir Cz. przekreślił kłuczyk w stacyjce i czerwona motorówka wyskoczyła z trzcin na jezioro.

Kłusownik jeszcze przez chwilę trzymał kierownicę, lecz zaraz głowa mu opadła. Jan Cz. nie wiedział co się dzieje, zaczął brata cucić wodą, a gdy spostrzegł, że nie oddycha, próbował mu robić sztuczne oddychanie i masaż serca. Musiał zauważyć ranę w piersi (biegłi orzekli potem, że trafiony bagnetem w samo serce Sławomir Cz. mógł żyć maksymalnie 3 minuty), lecz wpadł w taką panikę, że nie za bardzo wiedział, co robić. Po prostu skierował łódkę w kierunku najbliższych widocznych światła.

Dotarł do brzegu gdzieś na wysokości Okartowa, bezskutecznie szukał też pomocy u jakiejś kobiety w Kwiku. W końcu po ciemku pomylił na jeziorze kierunki stron świata. Myślał, że płynie do Pizsa, a płynął w kierunku Mikotajek. Na przesmyku w Popielnie wbił się w nieoświetlone betonowe

nabrzeże z takim impetem, że aż go wyrzuciło na brzeg. O godzinie 22.15 posterunek MO w Rucianem-Nidzie otrzymał wezwanie do wypadku motorówki. Jan Cz., skotowany i niepotrafiący wytłumaczyć, co robił nocą na Śniardwach i co się stało bratu, został zatrzymany.

Można było się domyślić, że bracia Cz. byli kłusownikami, ich „wypadku” i śmierci Sławomira Cz. milicja nie od razu jednak wiązała z rybakami. Ci też nie zdawali sobie sprawy z prawdziwych skutków swojej zasadzki, coś jednak chyba czuli, bo Janusz Sz. cisnął swój bagnet do wody.

Na razie bracia poszli na herbatę do stróża ośrodka w Dziubielach, potem już motorówką, niewykluczone, że w mroku nocy mijali się z błądzącą po Śniardwach motorówką z Pizsa, podpłynęli do swojego kolegi, który tej nocy pilnował rybackich sieci w okolicach Pieńkowa. Nic nie mówili o bitwie z kłusownikami. Następnego dnia zdążyli jeszcze opróżnić zastawione pod Dziubielami żaki. Było w nich 270 kilo węgorza. O tę stawkę toczyła się śmiertelna gra.

Eugeniusz i Janusz Sz. prowadzili ją do dłuższego czasu. I przegrywali. Jak kogoś złapali (obaj mieli papiery honorowych strażników rybackich i mogli to robić, choć oczywiście bez użycia jakiegokolwiek broni), niewiele to dawało. Nawet jeśli sprawa trafiła do kolegium czy sądu, kary dla kłusowników były symboliczne. W dodatku zeznania, konfrontacje, rozprawy odrywały rybaków od roboty, a ich zarobki ściśle zależały od tego, co złowili. Mieli tego dość.

Więc jak złapali kłusownika, rozprawiali się z nim po swojemu, zabierali mu sprzęt, topili łódkę. Gdy napotykali na opór, potrafili użyć siły. Mieli nawet sprawę prokuratorską, bo komuś przy takiej okazji złamali nos i szczękę. Ta sprawa została akurat umorzona, dyrektor PGRyb. został jednak zobowiązany do przeprowadzenia z rybakami rozmowy wychowawczej. Ci jednak nie zmienili swojej taktyki. — Postanowiliśmy sami zwalczać kłusownictwo na wodach państwowych, rybacy nie mieli sił i nerwów do wypływania na jezioro — wyjaśniał potem Janusz Sz. w olsztyńskim sądzie.

On został oskarżony o zabójstwo, jego brat o udział w bójce. W Sądzie Wojewódzkim w Olsztynie mieli aż dwa procesy. W pierwszym, zakończonym wyrokiem z 29 września 1984, Janusz Sz. został skazany z nadzwyczajnym złagodzeniem kary, mimo to aż na pięć lat pozbawienia wolności. Postępowanie w stosunku do Eugeniusza Sz. sąd umorzył na podstawie amnestii z okazji 30-lecia PRL.

Możliwości kwalifikacji prawnej zdarzenia na Śniardwach były bardzo różne, od zabójstwa z zamiarem bezpośrednim po obronę konieczną. Prokuratura do samego końca domagała się 12 lat więzienia dla Janusza Sz. i 5 lat dla jego brata. Także podczas drugiego procesu, bo pierwszy wyrok został decyzją Sądu Najwyższego uchylony.

Niebagatelny wpływ miała na to presja społeczna. Na przykład po raporcie o braciach Sz. w programie TVP „Zawsze po 21” zaczęły napływać do sądu głosy z poparciem dla rybaków, argumenty, że bronili oni przecież własności społecznej. „Ci ludzie są niewinni, a jeżeli już tak, to tylko przed paragrafami. Moralnie są rozgrzeszeni”, pisali obrońcy rybaków. W sądzie wstawiali się za nimi i wędkarze z PZW, i naukowcy z ART.

Ostatecznie więc (wyrok w drugim procesie zapadł 7 listopada 1986 roku) Janusz Sz., skazany nie za zabójstwo, a za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, dostał tylko trzy lata. Na podstawie amnestii sąd zmniejszył mu zaraz karę o połowę, choć to była musztarda po obiedzie, bo rybak swoje już i tak odsiedział. Postępowanie wobec Eugeniusza Sz. sąd, tak jak przy pierwszym podejściu, umorzył. Obydwaj bracia wrócili do pracy w zakładzie rybackim.

Na podstawie ich historii w 1988 roku TVP nakręciła czteroodcinkowy serial „Akwen Eldorado”.

STANISŁAW BRZOZOWSKI |||



Innovation
that excites

NISSAN INTELLIGENT MOBILITY



ZUPEŁNIE NOWY NISSAN MICRA TWÓJ PARTNER

JUŻ OD 396 ZŁ MIESIĘCZNIE

MAX-USŁUGA

Olsztyn, ul. Leonharda 3

YOU+ NISSAN

NASZA OBIETNICA. TWÓJ SPOKÓJ.

Gdziekolwiek, kiedykolwiek, cokolwiek:
+48 801 64 77 26**

-  **Bezpłatny samochód zastępczy***
-  **Najwyższa jakość w najlepszej cenie***
-  **Bezpłatna kontrola pojazdu***
-  **Bezterminowy Nissan Assistance***

Zdjęcia są jedynie ilustracją. Dane i fakty podane w niniejszej reklamie służą wyłącznie celom informacyjnym i nie stanowią oferty zawarcia umowy. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym 3,2-4,4l/100 km, emisja CO₂ 85-100g/km. Miesięczna rata Kredytu Select dla Nowego Nissan Micra Visia 1.0l w cenie 45 990 zł, z wkładem własnym 13 797 zł, ostatnią ratą 25 754 zł i okresem finansowania 37 miesięcy. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania dla Kredytu Select wynosi 9,08% dla następującego reprezentatywnego przykładu: cena auta 54 490 zł, okres 37 miesięcy, wpłata własna 14 767 zł, oprocentowanie nominalne w skali roku 5,49%, finansowane: opłata przygotowawcza 1 588,93 zł i ubezpieczenie kredytobiorcy 1 834,26 zł. Miesięczna rata kredytowa 520,98 zł. Ostatnia rata 30 514 zł. Całkowita kwota kredytu: 39 723,21 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 49 269,71 zł. Stan na dzień 15.03.2017. Kredyt oferowany jest przez RCI Banque S.A. Oddział w Polsce i dostępny u pośredników kredytowych wykonujących czynności faktyczne związane z zawieraniem umów kredytowych na podstawie umowy z RCI Banque S.A. Oddział w Polsce z siedzibą w Warszawie. Miesięczna rata netto dla Nowego Nissan Micra Visia 1.0l w ofercie Leasing Select dla przedsiębiorców na 36 miesięcy z całkowitym limitem przebiegu 45 tys. km i opłatą wstępną 15,3%. Szczegółowe warunki Leasingu Select oferowanego przez RCI Leasing Polska Sp. z o.o. dostępne u Dealerów Nissana. * Szczegóły Obietnicy Nissana dostępne są w Ogólnych Warunkach Umowy. Szczegóły dostępne na <https://www.nissan.pl/PL/pl/YouPlus/customer-promise.html>. ** Z zagranicy: +36 1 371 5496.

ROZLEWISKO WRÓCIŁO NA MAZURY

\\ EKIPA FILMOWA WRÓCIŁA DO „PENSJONATU NAD ROZLEWISKIEM”. W PODOSTRÓDZKIEJ WSI PO CZTERECH LATACH ZNÓW POJAWILI SIĘ ZNANI AKTORZY: JOANNA BRODZIK, PIOTR GRABOWSKI, OLGA FRYCZ, ANTONI KRÓLIKOWSKI, SYLWIA JUSZCZAK. BYLIŚMY NA PLANIE FILMOWYM.

Dziwnie, ale też ciekawie jest wrócić tu po czterech latach — mówi aktorka Joanna Brodzik. — To jest piękne miejsce, a ja z przyjemnością wracam do postaci Małgosi Jantar. W tej serii ponownie zobaczymy bohaterów znanych z poprzednich sezonów, ale pojawiają się też nowi. Wikłają się w różne problemy i wokół nich toczy się życie nad „Rozlewiskiem”. Dla mnie ciekawe jest wchodzenie w te sytuacje, które wymyślił scenarzyści.

Pierwszy kłaps nowej serii padł 6 czerwca w Nastajkach koło Ostródy, prawdziwym pensjonacie „Młyn nad Rozlewiskiem”, malowniczo położonym wśród stawów i grobli, w miejscu dobrze znanym filmowcom i widzom tego serialu. Za kamerą stanął ponownie Adek Drabiński. Tu powstawały wcześniejsze serie tej filmowej opowieści. Plany zdjęciowe obejmują też wiele innych miejsc w okolicach Ostródy i Olsztyna.

Na planie w Nastajkach zastaliśmy aktorów odtwarzających głównych bohaterów serialu: Joannę Brodzik i Piotra Grabowskiego. Pogoda była kapryśna, niebo nad „Rozlewiskiem” zasnuły ciemne chmury, gdzieś daleko słychać już było pierwsze grzmoty. Nadchodziła burza. Ekipa techniczna szykowała plan do ujęcia. Filmowcom burza specjalnie nie przeszkadzała, bo scenę kręcono w sypialni. W szerokim tożu na piętrze pensjonatu Joanna Brodzik, czyli Małgosia, ze swoim filmowym mężem Konradem (Piotr Grabowski), snuli plany na przyszłość. Przed okrzykiem reżysera „Akcja!” zostaliśmy wyrzuceni z sypialni, co zrozumiałe...

Na planie znów pojawiają się znane twarze, m.in. Olga Frycz, Antoni Królikowski, Sylwia Juszczak, Anna Czarotowska-Niemczycka i Irena Telesz-Burczyk. Zabrakło zmarłej po ciężkiej chorobie Małgorzaty Braunek, filmowej Basi, mamy Małgosi Jantar.

— Moja bohaterka będzie musiała zmierzyć się z zupełnie nową dla niej sytuacją, jaką jest śmierć mamy — dodaje Joanna Brodzik.

Możemy jeszcze dodać, że życie Małgosi wywróci się do góry nogami, gdy w jej pensjonacie pojawi się... komornik z weksem na ponad milion złotych, podpisanym przez jej zmarłą w Indiach matkę!

Szykują się też zmiany w obsadzie. Do tej pory Elwirę grała Joanna Drozda, ale okazało się, że ze względu na inne zobowiązania musiała zrezygnować, a w serialu zastąpi ją Julia Pogrzebińska.

Do ekipy filmowej „Rozlewiska” dołączy też Ewa Bukowska, która w szóstej serii ponownie wcieli się w matkę Pauli (Anna Czarotowska-Niemczycka). Aktorka wraca do tej roli po 8-letniej przerwie. Tym razem grana przez nią bohaterka przyjedzie nad „Rozlewisko” prosto z Paryża, gdzie od lat mieszka z mężem i synem. Nie miała kontaktów z córką. O tym, że Paula wyszła za męża i ma dwoje adoptowanych dzieci, dowie się od taksówkarza, który przywiezie ją z Ostródy do pensjonatu Małgosi.

Do obsady serialu dołączy też Mikołaj Krawczyk. Zagra Adama, przystojnego biznesmena, który zamieszka w pensjonacie i postanowi rozkochać w sobie właścicielkę. Okaze się, że ma też względem Małgosi inne plany mogące zrujnować życie nie tylko jej, ale też wszystkich jej bliskich.



Joanna Brodzik na planie filmowym „Pensjonatu nad rozlewiskiem”: Moja bohaterka będzie musiała zmierzyć się z zupełnie nową dla niej sytuacją, jaką jest śmierć mamy Fot. Łukasz Lamcho

„Pensjonat nad rozlewiskiem” to kontynuacja „Miłości nad rozlewiskiem”, czyli losów głównej bohaterki Małgorzaty Jantar, odtwarzanej przez Joannę Brodzik, która po życiowych perypetiach otworzyła swój wymarzony pensjonat w jednej z mazurskich wsi.

Kilka tajemnic z nowej serii „Rozlewiska” zdradził nam też drugi reżyser Makary Janowski.

— Odeszliśmy trochę od tego sielskiego i magicznego życia nad „Rozlewiskiem” — mówi Makary Janowski. — Pojawi się wątek kryminalny, który zburzy spokój mieszkańców pensjonatu. Będziemy też mieć sławnych gości na planie. Pojawią się między innymi Karol Strasburger i zespół „Perfect”. Więcej nie mogę zdradzić.

Ekipa techniczna szykowała już kolejne ujęcie. To mozolna praca z ustawianiem świateł, kamer i mikrofonów. Aktorom na planie towarzyszy zawsze od 30 do nawet 80 osób. I wydawać by się mogło, że tu również praca przebiega sielsko i leniwie, jak to nad „Rozlewiskiem”...

— To pozory, zapewniam, że czasami jest jak na torze Formuły 1, gdy ze wszystkim trzeba zdążyć — mówi jeden z pracowników planu.

Zdjęcia potrwają do końca sierpnia. Za kamerą stanął znakomity operator Bogdan Stachurski, który pracował przy takich produkcjach, jak „Wiedźmin” czy filmy w reżyserii Marka Kotarskiego: „Życie wewnętrzne” i „Nic śmiesznego”.

Łącznie ekipa filmowa spędzi na planie na Mazurach 65 dni. Zdjęcia zakończą się w sierpniu. W 6. sezonie zaplanowano 13 odcinków. „Pensjonat nad rozlewiskiem” zadebiutuje na antenie TVP1 w niedzielę 3 grudnia.

BARBARA CHADAJ-LAMCHO \\\



170 SKLEPÓW

Olsztyn

ATRAKcje



WARMIOLANDIA
Kraina Zabaw

Strefa zabaw
dla dzieci



Multikino

Kino



KINETIC
FITNESS CLUB

Fitness



8 Kawiarni
11 Restauracji

Restauracje
i kawiarnie

TKmaxx

ZARA

Bershka

RESERVED

MOHITO

NEWYORKER

FEMESTAGE
BY MINGE

intimissimi

CALZEDONIA

Massimo Dutti

H&M

VENEZIA

monnari

PULL&BEAR

**HILFINGER
DENIM**

orsay

TATSUMI

SEPHORA

**GALERIA
WARMIŃSKA**

Wystawa
interaktywna

5-30.08



galeria-warminska.pl

**GALERIA
WARMIŃSKA**

Wszelkie prawa zastrzeżone. GRUPA WN Sp. z o.o.



RENAULT
Passion for life



Nowe Renault KOLEOS

Podążaj własnymi drogami

Już od 109 900 zł

ALCAR SP. Z O.O.

ul. Lubelska 39a, 10-408 Olsztyn

tel. 89 533 53 93, www.alcar-renault.pl